ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 12 20.III. 1937 R.



Z TEATRU W POZNANIU. — LILI ZIELIŃSKA I LUBICZ-LISOWSKI W CIESZĄCEJ SIĘ POWODZENIEM KOMEDJI „JAPOŃSKI ROWER" W TEATRZE NOWYM

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII Nr 12 20.III 1937

P A U Z A

Słownik polityczny wzbogacił się dzięki francuzom o nowy termin, taktyka o nowy sposób politycznego działania: — pauza. Wbrew logice może, pauza nie oznacza pustki i luki, lecz ma też swoją treść i bogaty czasem sens. Jeśli dotrzeć do rdzenia zjawiska, okazuje się że oznacza ono tyle, iż państwo zatrzymuje na okres pewien swoje wszechmocne i wszechwładne działania, jakgdyby chciało wolnym siłom społecznym dać wolny bieg i pozwolić bez natrętnego swego kierownictwa wyzwolić się i wypowiedzieć, zapewne nawet wyszumieć.

Zanim Paryż swoją pauzę wymyślił i obwieścił, długo przedtem jeszcze nastała w międzynarodowej dyplomacji pauza ważniejsza, i napewno znacznie ciekawsza. Ministrowie i amabsadorowie zmęczyli się tułaczką po Europie i choć nie całkiem zaprzestali turystyki politycznej, nie podpisują pergaminów i nie kwapią się zbytnio do paktów i aktów. W wielkich mowach ich znać upadek ducha, zniechęcenie, wyczerpanie inicjatywy. Co ważniejsze, mało kogo to zastanawia i zdziwi, a wprost nikogo nie zaniepokoi. Rzec można, że w chwili, gdy wśród europejskich narodów ostatni optymista machnął ręką i dał za wygranę, wtedy dopiero i nasza dyplomatyczna europejska elita też dostrzegła całą niemoc swoich metod i miałkość ideji.

Każdy z nas bezwiednie lub pełnią politycznej świadomości rozumie i wie, że od pewnego czasu, głównie od chwili, kiedy Niemcy weszły znów nad Ren, a Włochy do Abisynji, złowróżebną przerwę wszystkie państwa wypełniają — *zbrojeniami*. To jest istotna treść pauzy dyplomatycznej. Pozbawione busoli i europejskiego kierownictwa państwa nie znalazły dotąd lepszego sposobu wyzyskania swobody jak w febrycznej pracy nad uzbrojeniem. Zamiast nowych paktów i konferencyj mieć będziemy nowe czołgi i samoloty, nowe armaty i motoryzację. I na dyplomatycznej arenie pchani koncentrującą się potęgą III-ej Rzeszy wracamy szybko do status quo ante bellum 1914. Znaczy to w pierwszym rzędzie płynność i niezmiernie wrażliwą chwiejność równowagi europejskiej. Europa niepewnie kroczy, a często zatacza się od incydentu do incydentu. Jak wtedy, jako tako działa niby straż pożarna, francusko brytyjska entente. I całkiem podobnie jak przed wielką wojną Niemcy odosobnione, ale mocne, prężne, nieznośnie aktywne, w dramatycznem napięciu woli, życia, ambicji, śmiało grają na lęku świata przed zbrojną awanturą. Jak wtedy wreszcie, europejskie narody łaknące „koniunktur" przejęte powszechnem pragnieniem kultury, dobrobytu, komfortu, pozostawiają rządom, dyplomatom, wogóle „zawodowcom" polityki i dyplomacji sporo swobody działania, niemal carte blanche.

Nie było wtedy wśród państw Europy Polski. Przed 1914 r. niemiecka polityka międzynarodowego przewrotu, rozsadzająca przyciasne dla cesarstwa ramy europejskiego układu sił i obszarów była mimowolnym sprzymierzeńcem niepodległościowych ruchów narodu polskiego. Dziś jest inaczej. Trzecia Rzesza musi manewrować nadal ostrożnie i dyskretnie by nie zapędzić znów polskiej dyplomacji między wrogów swoich. Ten wzgląd, wśród wielu innych, będzie też powodem przedłużania się obecnej pauzy dyplomatycznej. U dołu gotują się już ważkie przesunięcia. Masywna waga zbrojeń ma swoją wymowę, swe prawidła, swoje następstwa: to coś jakby te tajemnicze przesunięcia mas i temperatur w głębi ziemi, które na jej skorupie sieją nagłą grozę wstrząsów, pęknięć, wybuchów. Tak wygląda dynamika zbrojeń w ustroju międzynarodowym.

Państwo nasze po raz pierwszy od odnowienia swego znalazło się pod znakiem tej konstelacji zbrojeń i stanęło wobec nowej jej reguły, w której współzawodniczą duch narodu z materją, dyscyplina i jedność moralna społeczeństwa z postulatami skarbu zasobnego, sprawnej gospodarki, aż do prozaicznego zgoła rachunku kilometrów szos i wehikułów. Dyplomacja polska zaś, zaprawiana przez lat bezmała dwadzieścia na odurzającej djalektyce Ligi, zjazdów, konferencyj, — tych niezliczonych już rozgrywek, musi niespodzianie wśród wielości sympatycznych partnerów gry szukać pewnych przyjaciół i takich sojuszników, co flanki solidnie zasłonią, zasoby sił powiększą i własne braki uzupełnią. Wymiana myśli i wizyt między francuskim a polskim wodzem, i dalsze, praktyczne tegoż następstwa, to sygnały i przejawy wielkiego zwrotu. Próby konsolidacji narodowej w tym samym stają rzędzie: to fatalna wymowa zbrojeń przemawia surowym, imperatywnym tonem „réalité des choses".

K. B.

W DNIU IMIENIN MARSZAŁKA EDWARDA ŚMIGŁEGO – RYDZA

W dniu imienin Marszałka Śmigłego-Rydza myśl całej Polski koncentruje się przy osobie Naczelnego Wodza Armji Polskiej. Tej Armji, która jest ukochaniem i dumą Narodu.

Marszałek Śmigły - Rydz jest dla nas wszystkich wcieleniem cnót i talentów żołnierskich — patrzymy nań jako na organizatora siły polskiej, jako na spadkobiercę ducha rycerskości i tradycji niepodległościowej.

Składając życzenia Dostojnemu Solenizantowi cała Polska pamięta jego jasne, zwięzłe, mądre słowa w dniu wręczenia Mu buławy Marszałkowskiej. Cała Polska pamięta i wdzięczna mu jest, iż pierwsze akty polityczne z inspiracji Marszałka Śmigłego - Rydza powstałe, to były: wzmożenie odrodzenia przyjaźni istotnej z naszymi sojusznikami, a Francją w pierwszym rzędzie, oraz myśl, organizacja i praca nad stokrotnym, niezbędnym wzmożeniem sprawności obronnej naszego Państwa.

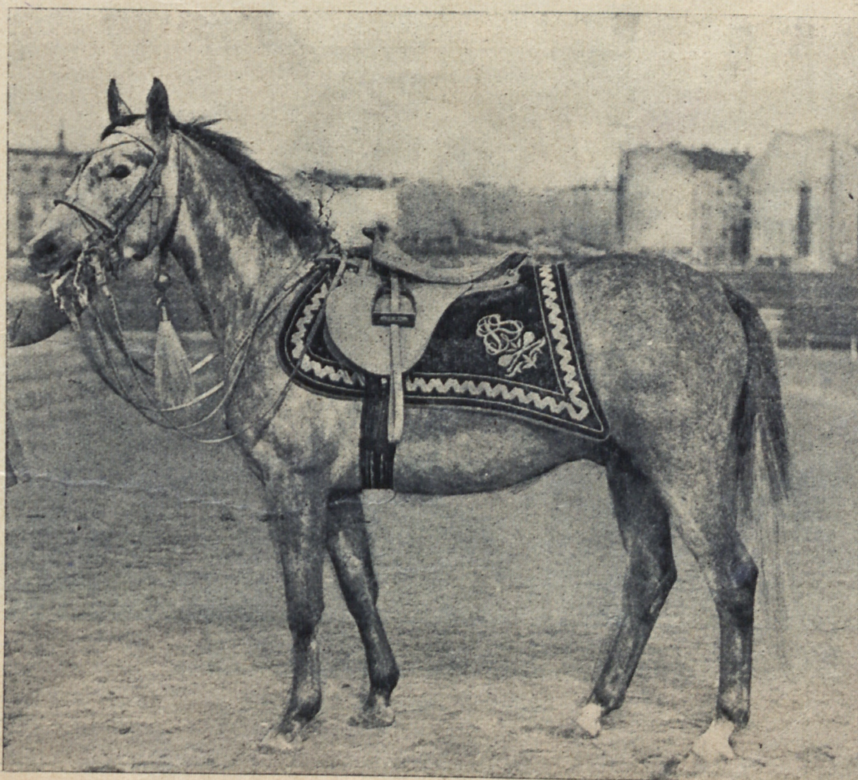
W pracy nad obroną Państwa, wzmaganiem jego potęgi, niezależności, nad doskonaleniem organizacji i instytucji wewnętrznych — tak aby szczęśliwości i dobru obywateli, a chwale Narodu służyły — społeczeństwo pójdzie zawsze zwarcie i z zapałem za swym Wodzem Naczelnym.



Marszałek Edward Śmigły-Rydz



W gmachu G. I. S. Z., minister japoński Ito uroczyście udekorował w tych dniach Marszałka E. Śmigłego-Rydza orderem „Wschodzącego Słońca"



Czteroletni anglo-arab, ze stadniny St. hr. Korzbok-Łąckiego w Posadowie imieninowy dar powiatu Brzeżańskiego dla Marszałka E. Śmigłego-Rydza

Fot. N. Pełczyński

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

SZTUKA FRANCUSKA W WARSZAWIE

„Precz z Paryżem!"

„Tylko Paryż!"

Te dwa sprzeczne i dość krańcowe hasła rozbrzmiewały doniedawna w dwu wrogich sobie obozach artystów polskich. Jak zwykle w takich razach obie strony miały trochę racji — a trochę były w błędzie. Zaś prawda znajdowała się — pośrodku.

Boje były zażarte, a zarazem odrobinę komiczne — głównie przez to, że wielu walczących wogóle nigdy nie widziało zbliska tego uwielbianego i zwalczanego Paryża. A zapytani odpowiadali dufnie: „To nic, znam malarstwo francuskie — z reprodukcji".

Hm... można i tak. Ale nie trzeba. Bo żadna na świecie fotografja nie odda koloru danego obrazu — a przecież kolor właśnie jest tą wartością w imię której większość naszych artystów wstąpiła w szranki bojowe.

Po jednej stronie stanęli ci, dla których „tylko Paryż". „Paryż jest, był i będzie Mekką dla artystów". „Bez Paryża nikt nie osiągnie pełni rozwoju". Moda malarska z Paryża, ostatni krzyk z Paryża, wreszcie nawet beznadziejne kulfony z Paryża — wszystko im było dobre. Bo miało stempelek: „Made in Paris".

Drugi odłam — „precz z Paryżem" — występował w imię haseł sztuki narodowej, w imię odrębności naszej tradycji, w imię obaw, że w nowoczesnym Babilonie zetrą się docna indywidualności.

Ci pierwsi mieli rację o tyle, że Paryż stał się rzeczywiście w ciągu ostatniego stulecia terenem ścierania się nowych prądów w sztuce. Nie wszystkie tam powstają — ale jednak wszystkie tam walczą. Więc naprzykład futuryzm powstał we Włoszech — ale manifest swój ogłosił w Paryżu. Ekspresjonizm powstał w Niemczech — ale zaraził na parę lat część artystów osiadłych w Paryżu. Paryż jest dzisiaj istotnie kotłem, w którym wygotowuje się i kipi dziwna mieszanina: raz wyklarowuje się z niej nektar nowej, wspaniałej sztuki, a kiedyindziej nadmiernie rozreklamowane — pomyje.

Ci drudzy — którzy Paryż zwalczali — mieli też trochę racji. Paryż, jak każde środowisko pulsujące życiem nadmiernem — przytępia i zabija indywidualności małe. Wyprowadza je podstępnie na bezdroża. Natomiast indywidualności wielkie hartuje, rozszerza ich horyzonty, daje im nieograniczoną skalę porównań — i wspaniałe możliwości pogłębienia własnej kultury artystycznej. Paryż dla artysty nie dlatego jest bezcenny, że na Montparnasie mieszka kilkadziesiąt tysięcy głodomorów, uzbrojonych w pędzle i palety — i że ci głodomorzy z ferworem godnym lepszej sprawy całemi dniami siedzą po obmierzłych kawiarenkach, dyskutując do upadłego o walorach obrazów, których nigdy nie namalują.

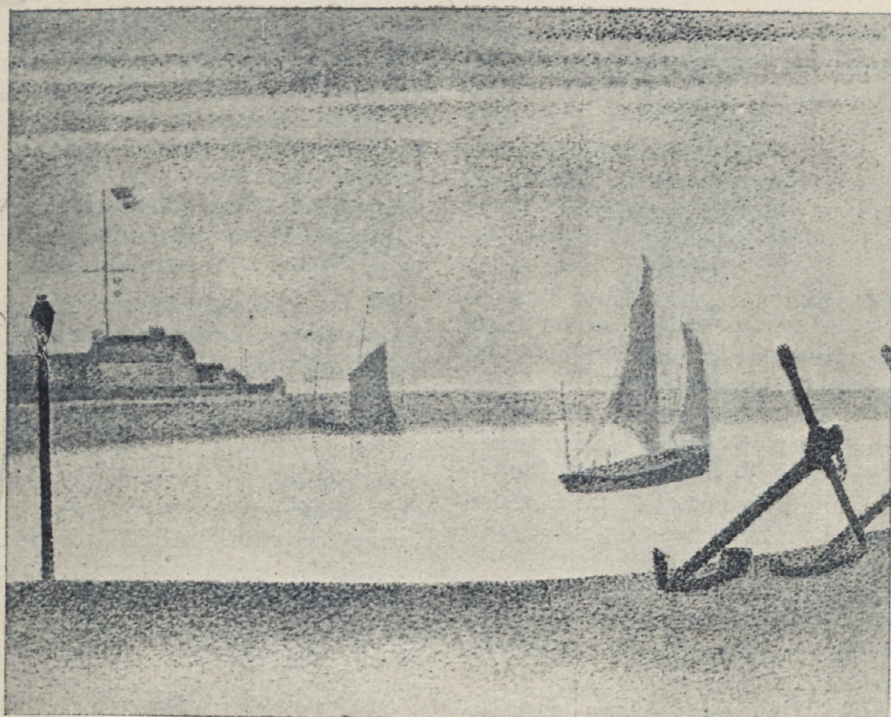
Paryż jest bezcenny dlatego, że posiada naprawdę wielką tradycję atmosfery artystycznej, że ma przebogate kolekcje publiczne i prywatne, w których każdy artysta nauczy się więcej, niż we wszystkich akademjach... i kawiarniach razem wziętych. I dlatego niekoniecznie trzeba, aby wszyscy artyści na świecie malowali tak, „jak się maluje w danym sezonie w Paryżu". Ale byłoby bardzo wskazane aby każdy wybitniejszy malarz jednak przez ten Paryż przeszedł — nie tyle przez jego knajpy i „café" i „bistro" — ile przez jego szumnie, ale słusznie t. zw. „świątynie sztuki".

Cóż — kiedy niestety tradycja podróży artystycznych do Paryża ogromnie w Polsce w ostatniem pokoleniu upadła. Jak zresztą tradycja — wszelkich podróży. Nie brak chęci stoi temu na przeszkodzie — to jasne. Artysta dziś, tak jak dawniej, pojechałby choćby głodować w Paryżu — byle go tylko poznać. Dlaczego utrudnione są nawet te wyjazdy tak przecież skromne i w bilansie płatniczym naszej ojczyzny małoznaczne — tego nie odgadnie nikt. Dość, że odcięci jesteśmy od kultury artystycznej zachodu, zamknięci na cztery spusty, i skazani na bezpłodne dysputy wewnętrzne, zamiast rozjaśniających w głowach wyjazdów w świat szeroki.

Dlatego uważać należy za fakt doniosłości niezwykłej, gdy ten „szeroki świat" zechce pofatygować się — do nas. W swoim czasie podkreślałam tu znaczenie wystawy rzeźby francuskiej w IPS-ie czy wy-



Paul Cézanne (1839—1906) Martwa natura (własność Muzeum Luwru)



Georges Pierre Seurat (1859—1891) *Port*

stawy sztuki belgijskiej. Dziś z radością stwierdzić należy, że zorganizowana w Muzeum Narodowem wystawa malarstwa francuskiego „Od Maneta po dzień dzisiejszy" jest ewenementem na naszym partykularzu wprost wyjątkowym, i że znaczenie jej dla całej młodej generacji artystów i miłośników, wyrosłych bez możności obcowania ze sztuką zachodu — będzie przełomowe.

Nareszcie ci, którzy szermowali w imię lub przeciw impresjonizmowi, ci co zaklinali się na kubizm, lub go wyklinali, ci co się uważali za potomków Cézanne'a, choć nigdy nie widzieli ani jednego jego obrazu — nareszcie ci wszyscy przestaną rozprawiać jak — dosłownie „ślepi o kolorach". Wystawa, którą obecnie Warszawa podziwia i wchłania — wystawa ta jest jak otwarcie wielkiego okna na wspaniałą przestrzeń, którą młodsze pokolenie polaków znało dotychczas tylko z opowiadania. To też mimo jej nieuniknionych niedociągnięć wystawa ta stanowić będzie niewątpliwie etap w rozwoju artystycznym Warszawy — co przepowiedzieć można tem pewniej. że powodzenie jej przeszło wszelkie najśmielsze oczekiwania. Jak Warszawa Warszawą — nie było jeszcze wystawy sztuki, na której przewijałoby się po 10 tysięcy widzów dziennie. A takie tłumy ściąga wystawa sztuki francuskiej, która u nas na czas krótki zagościła.

Wspomniało się o niedociągnięciach tej doniosłej imprezy artystycznej. To nie jest żaden zarzut. Jest to raczej nieunikniona konieczność tam, gdzie 89 dzieł ma zobrazować dzieje bujnej sztuki francuskiej na przestrzeni lat siedemdziesięciu. Są oczywiście i bolesne luki — chciałoby się tego i owego zobaczyć w większej ilości dzieł. Pragnęłoby się także, aby całość programu rozbita była conajmniej na dwie takie wystawy: np. żeby jedna poświęcona była samym impresjonistom, druga zaś — ich następcom i sztuce dzisiejszej. Ale byłoby conajmniej nietaktem wymagać więcej, niż nam ofiarowano. To co przyjechało do Warszawy, to nie jest sztuka „drugiej klasy". Są to rzeczy wybrane starannie i z dużem zrozumieniem celu wystawy. Cieszmy się nią — i po zamknięciu napiszmy do Paryża: „Dziękujemy za już. Prosimy o jeszcze".

* * *

Od Maneta po dzień dzisiejszy... Program istotnie olbrzymi! Trzy ćwierci wieku, w czasie których urodził się i rozwinął impresjonizm Maneta, Renoira, Moneta, Degasa, pointilizm Sisleya i Seurata, samotna a przecież niezwykle zapładniająca sztuka Cézanne'a, neoimpresjonizm, nieobjęta żadnym „izmem"



Edouard Manet (1832—1883) *Portret Zoli*

indywidualność Gauguina, neoromantyzm Odilon Redon, syntetyzm Maurice Denis, fowizm Matisse'a, kubizm i konstruktywizm Braque'a i Gromaire'a, różne kolejne „izmy" Picassa, prymitywizm Modiglianiego, — i wszystkie możliwe odmiany tych kierunków, uprawiane przez uczniów i epigonów.

Wystawa ta jest zaledwie — z konieczności — przeglądem próbek każdego z wymienionych kierunków — ale te próbki, to nie są bynajmniej „échantillons sans valeur".

Wystawę tę przy zwiedzaniu należy świadomie dzielić na dwie części: jedna — impresjoniści, druga — te kierunki których panowanie, mniej lub więcej efemeryczne, datuje od pierwszego dziesiątka XX wieku.

Impresjoniści dzisiaj są już w swoim rodzaju klasykami, są wartością bezsporną, która trwale weszła do dziejów sztuki. Ich kierunek zapanował tak dalece, że dziś malarz wzorujący się na impresjonistach — wydaje się poprostu staroświecki. Więc na czem polega ich rewolucja? Dlaczego ich zwalczano? Rewolucja ich polegała na tem, że wyszli w plener, odrzucili przesądy światła pracownianego i spojrzeli oczami świeżemi na słońce, na światło, na drgające w przestrzeni powietrze, na kolory. I zobaczyli, że cień nie musi być, jak dawniej myślano, bronzowy ani czarny — ale że bywa często szafirowy. Że przy pewnem oświetleniu kolory lokalne zmieniają się do niepoznania — że koń biały może być, jak na pięknym obrazie Gauguina — zielony, a drugi obok czerwony. I że to nic nie szkodzi: przeciwnie kompozycja ta jest wspaniałym akordem barwnym. Wpatrzenie się w dzieła Gauguina każe żałować, nawiasem mówiąc, że tego natchnionego dekoratora nie zrozumiano w porę, że mu nigdy nie dano do zdobienia wielkich płaszczyzn ściennych, że go tak dokładnie struto szykanami i udrękami cywilizacji, iż wreszcie zdziwaczał i wyjechał na zawsze do dzikich ludzi. Podobno mnóstwo jego prac — (dziś bezcennych) — zdobi szałasy i chatki z liści palmowych, które stanowią pałace czarnych tuziemców z Tahiti, wiernych przyjaciół wielkiego, a za życia niedocenionego artysty.

Inni byli szczęśliwsi, choć też ciężką walką zdobywali prawo istnienia dla swej sztuki. Dziś jednak Cézanne i Degas, Manet i Monet, Berthe Morisot i Gauguin, Renoir i Seurat, Sisley i Signac — są to nazwiska, przy których nikt nie stawia artystycznych znaków zapytania. Niektórzy epigoni nawet w swym entuzjazmie skłonni są stwarzać wokół nich pewne legendy jak np. ta, że — pierwsi odkryli kolor i światło. Tymczasem już przed nimi tworzył wielki angielski pejzażysta Turner, a także wspaniały anty - klasyk Delacroix. A sięgając dalej wstecz — było przecież wielkie malarstwo hiszpańskie, które znali wszyscy francuscy impresjoniści, był Velazquez, jeden z ich przodków duchowych. Jeżeli zaś zważymy że Velazquez niejedno wziął od Rubensa, a znów Rubens od Tycjana i mistrzów szkoły weneckiej — to dojdziemy etapami do dość odległych w czasie i przestrzeni antenatów francuskiej szkoły impresjonistycznej.

To zresztą nie stanowi dla niej żadnej ujmy. Tylko zupełne nieuki wmawiać mogą naiwnym, że sztuka obywa się bez przeszłości. Całkowicie samodzielny i może najbardziej od wpływów uniezależniony Gauguin tak pisał u schyłku życia do jednego z przyjaciół: „Nie, i po tysiąc razy nie: artysta nie rodzi się gotów, z jednej bryły. Jeżeli zdoła dodać swą sztuką jedno ogniwo do jej łańcucha — już to będzie bardzo dużo".

Łańcuch jest długi, jak słusznie zauważył Gauguin. Tak długi że sięga — starej, wyrafinowej sztuki japońskiej. Na „Portrecie Zoli" Manet jakby hasła ideowe, umieścił w górnym rogu na prawo: drzeworyt japoński Utamaro, fragment obrazu Velazqueza i własną „Olimpię".

Wpływ impresjonistów był olbrzymi. Ale że nie byli bez błędów, przeto szybko nastąpiła reakcja: negowanie formy na rzecz koloru wywołało w następnych generacjach malarzy żywy odruch sprzeciwu. Pomijanie przez impresjonistów myśli na rzecz instynktem wiedzionego wrażenia — nakazało poszukiwanie ujęć nowych, filtrowanie wrażeń przez mózg. Powstały nowe kierunki, często ekstermistyczne.

Różne te kierunki w swych przemianach wysublimują się wreszcie w sztukę stanowiącą wyraz naszego stulecia — ale żaden z tych kierunków nie stanowi dotąd tej syntezy. Dlatego patrzeć na nie wolno z dużą dozą trzeźwości i nie należy podawać maluczkim do wierzenia, że Braque ze swemi deformacjami Rouault ze swemi potwornościami, albo Matisse ze swą bezgraniczną wulgarnością koloru i formy — wejdą naprawdę na Parnas. Dobrze się jednak stało że i te kierunki pokazano w Warszawie, choć może niedość uwydatniono olbrzymią różnicę między impresjonistami i ich sztuką już zakończoną i zamkniętą — a kierunkami późniejszemi, które stanowią właściwie jeszcze nie skończone osiągnięcia, lecz dopiero dążenie ku nim i mozolne przerąbywanie dróg ku nowemu stylowi.



Claude Monet (1840—1926) *Tuilerje*

POŁÓW PEREŁ



W Akademii wakans

Jest w PAL'u wolny fotel. Rzymowski nareszcie się usunął, co Akademja „z żalem" przyjęła do wiadomości.

Kto z publicystów wejdzie do grona polskich nieśmiertelnych?

Wydaje się rzeczą bezsporną, że od początku nie było kandydata godniejszego, publicysty znakomitszego i doskonalszego pisarza, jak Bolesław Koskowski. Bezkompromisowość i talent, rzetelność i umiar, jasność myśli i stylu—oto część zalet najwybitniejszego dziś publicysty w Polsce.

Niewątpliwie senator Koskowski godzien jest Akademji.

Możnaby tylko żywić wątpliwość, czy godzien jest tego zaszczytu fotel po Rzymowskim...

Umarłemu kadzidło...

Tak tylko nazwać można wspaniałą manifestację, urządzoną w Łodzi podczas pogrzebu znanego adwokata, Piotra Kona. Wzięli w nim udział przedstawiciele władz, palestra, delegacje Stow. byłych więźniów politycznych, związki robotnicze, etc.

Za co? Ponieważ był to człowiek zasług wyjątkowych. Działacz niepodległościowy, który najbezinteresowniej składał w ofierze swój talent krasomówczy i swoją pracę, aby w gorących latach 1905 i późniejszych bronić i ratować „przestępców politycznych" — bojowników o wolność Polski.

Dziś — w Polsce niepodległej — ten człowiek zasłużony — sam pozbawił się życia.

Zwyczajnie — z nędzy.

W dżungli egoizmów, wśród drapieżników pchających się na wyżyny — ten starzec nie miał siły do walki o byt. Życiem dla idei nie zapewnił sobie najminimalniejszego nawet finansowego oparcia na starość. Jak pisze I. K. C. — miasto Łódź przyznało mu nawet rentę emerytalną, ale ideowiec przyjęcia jej odmówił, nie chcąc, jak twierdził, brać nagrody za pracę społeczną.

Nie mając środków do życia — nie chcąc być ciężarem społeczeństwu — Piotr Kon zwrócił się niedawno do Rady Adwokackiej w Łodzi o wypłacenie mu z funduszów pośmiertnych odprawy, jakąby otrzymał spadkobierca jego w razie jego śmierci.

Rada adwokacka — odmówiła.

A Piotr Kon, nie chcąc żebrać — otruł się luminalem.

Po śmierci go uczczono. Oczywiście. Jakżeby inaczej.

Ale przedtem pozwolono mu umrzeć z nędzy — w bagnistej dżungli życia współczesnego. Wśród, pożal się Boże, „przyjaciół"...

Policjant dyrygentem czy dyrygent policjantem?

Świetny kapelmistrz polski, Dołżycki, nie znajduje w kraju odpowiedniego pola dla swej działalności. Został — bo coś przecież robić trzeba — dyrygentem... orkiestry policyjnej. W randze... starszego posterunkowego, proszę państwa.

Nie zniechęcona tem wcale Opera w Sofji, po szalonym sukcesie występów gościnnych, zaangażowała Dołżyckiego na 3 lata jako kapelmistrza i kierownika artystycznego Opery.

No cóż... My go potem napewno ocenimy, gdy wróci do kraju syt sławy i zagranicznych laurów. I przyjmiemy wtedy entuzjastycznie.

Jak zwykle.

Maszyna łamiąca kości

Tortury? Średniowiecze? Inkwizycja? Łamanie kołem?

Nic podobnego. Wiek XX. Ameryka. I bezbolesna operacja. W dodatku złotodajna.

Inżynier Jerzy West wymyślił coś, co wielu obywatelom Stanów Zjednoczonych pozwala... obejść delikatnie prawo i grubo na tem zarobić. Wymyślił maszynę, w której pod narkozą można sobie bez bólu i bez niebezpieczeństwa kazać złamać „au choix" — udko, skrzydełko, czy inną tam jaką przyległość ludzkiego organizmu. Każda będzie odpowiednia — byle była ubezpieczona. Na odpowiednio wysoką sumę.

Towarzystwa asekuracyjne zwróciły ostatnio uwagę na ogromną ilość ubezpieczonych, domagających się odszkodowania za połamane członki.

West pobierał 10% od kwoty ubezpieczeniowej...

I policja przerwała ten ślicznie się rozwijający proceder.

Milczenie jest złotem

Te słowa wziął za dewizę minister Kwiatkowski. I odmówił odpowiedzi na niedyskretne zapytanie posła Jedynaka w sprawie owych słynnych kapitalistów, którzy z Polski w czasie paniki walutowej wywozili pieniądze zagranicę.

Czy ta wyrafinowana dyskrecja ministra wobec ludzi, którzy działali świadomie na szkodę Polski, zyskała sobie uznanie szerokich mas obywateli — nie wiemy. Ale minister nie ubiega się o tanią popularność.

Natomiast czy taż dyskrecja jest pedagogicznym środkiem wobec ewentualnych naśladowców tamtych panów — o tem dużoby można powiedzieć...

I ani rusz wykombinować nie można, komu i dlaczego tak nagle zależy na osłanianiu szkodników państwowych?

Parę liczb

Jak czytamy w miesięczniku „Touring", Anglia w roku 1922 wyprodukowała u siebie 73 tysiące samochodów. Zapotrzebowanie rynku wynosiło 92 tysiące, eksport 3 tysiące. Brakujące 22 tysiące pokrył import maszyn zagranicznych.

Ta sama Anglja w czternaście lat później tj. w roku 1936, wyprodukowała — słuchajcie, słuchajcie! — 450 tysięcy samochodów. Konsumcja wyniosła około 380 tysięcy, eksport 76 tysięcy.

Czternaście lat nieustannego, tryumfalnego rozwoju.

My w tym czasie?

Nic, myśmy te czternaście lat „motoryzacyjnie" biorąc — przespali.

Uparty nurek.

J. J. PEŁCZYŃSKI

PRZYJĄĆ WŁADZĘ, CZY NIE PRZYJĄĆ?

Od specjalnego korespondenta, pocztą lotniczą

New Delhi, 21.II.37.

Wybory już ukończone i ostateczne rezultaty będą ogłoszone za dzień, lub dwa. Wiadomem jest już jednak, że Congress party zwyciężyła w pięciu na ośm prowincji, gdzie będzie mogła utworzyć swój własny gabinet ministerjalny. Ogromne to zwycięstwo, daje ważki atut partji Congress'u, która będzie mogła wywierać znacznie większy wpływ na całość polityki opozycyjnej w Indjach, gdyż jest to pierwsze oficjalnie skonstatowane opowiedzenie się ludu za nieubłaganą walką o niepodległość. Przepowiednia moja w tym sensie z poprzednich korespondencji nie była żadnym proroctwem, tylko wyczuciem panujących nastrojów.

Jawaharlal Nehru — leader Congress'u zwrócił najusilniejszą uwagę na stronę dalszej propagandy i w tym kierunku kazał skierować wszelkie wysiłki zaraz po ukończeniu wyborów. Czując, że masy dają mu swe poparcie, wiedząc, że w wielu środowiskach „niezdecydowani" przejdą po ogłoszeniu wyników wyborczych na stronę zwycięscy, wyczuł doskonale, jak należy dalszą akcję polityczną prowadzić: masy popierają partę Congress'u - partja Congress'u musi utrzymywać stały kontakt z masami. Powzięto więc decyzję zawiązania we wszystkich środowiskach, gdzie Congress ma jakąś organizację, specjalnych komitetów politycznych, a w innych środowiskach, gdzie Congress nie uzyskał jeszcze większości — zdwoić wysiłki dla sprawnego i energicznego zorganizowania politycznego mas.

Komitety takie będą czemś w rodzaju parlamentu, poza parlamentem. Będą one wypowiadały swe dezyderaty co do lokalnych potrzeb. Będą wybranym posłom dyktowały tendencje. Coś w rodzaju ludowego sowietu.

Zwycięstwo partji Congress'u, jak zaznaczyłem, jest nie byle jakie, gdyż przy wyborach padło kilkudziesięciu b. znanych i poważnych działaczy z obozu liberałów, członków gabinetów prowincjonalnych dotychczasowych i osób, które zdawało się, są tak zasłużone w opinji publicznej, że bez względu na opinję polityczną, zawsze znajdą poparcie elektoralne, bez zastrzeżeń. Lud wypowiedział się przeciw dwulicowości, przeciw medjatorom, przeciw tym, którzy swą inteligencją i postępowaniem potrafią wzbudzić zadowolenie i tymczasowe zaufanie w obu obozach. To co anglicy nazywają: Facing Bothways...



Prezydent ministrów w Hyderabad, Sir Kishen Pershad przejeżdża wśród tłumów hiudusów, bijących mu pokłony

Wszystkie obecne przewidywania gromadzą się około jednego problemu: czy zostaną utworzone gabinety ministerjalne partji Congress'u tam, gdzie Congress uzyskał absolutną większość, lub tam gdzie większość tę może wytworzyć z zaprzyjaźnionemi partjami? Zdawałoby się, że sprawa jest tak oczywista, że nie wymaga nawet odpowiedzi. W rzeczywistości jest kwestją bardziej delikatną do rozwiązania.

Mianowicie Jawaharlal Nehru niejednokrotnie zapewniał wyborców, że finalnym jego celem w wyborach nie jest osiągnięcie władzy, lecz przedewszystkiem zburzenie obecnej konstytucji, która narodowi została narzucona. „Congress" więc, jako bezpośredni i natychmiastowy cel wyznaczył sobie obalenie Konstytucji. Przyjmując w ramach tejże konstytucji odpowiedzialność tworzenia własnego rządu, tem samem rezygnuje z jej obalenia.

Najciekawsze, że dotychczas Congress nie ogłosił żadnych wytycznych swego programu politycznego i wszyscy wyborcy dawali Congressowi „carte blanche"; jako jedyną wytyczną była walka o swaraj — niepodległość.

W ostatnich dniach przeprowadziłem na ten temat szereg rozmów z leaderami w obu obozach i poza nimi. Niepodległościowcy podkreślają kategorycznie, że przyjęcie władzy byłoby wielką niekonsekwencją. Walka o Wolność wymaga przedewszystkiem takiej konstytucji, która zasady wolności da w ręce wybranych przez naród. Stworzenie dead - locku'u nie jest celem niepodległościowców, ale środkiem, który szybciej spowoduje uzyskanie zamierzonego celu. Przez odmowę udziału w rządzie i jednocześnie sparaliżowanie każdej akcji mającej na celu utworzenie takiego rządu przez obóz mniejszości, nie pozwalając jednocześnie nikomu rządu utworzyć — uda się osiągnąć to, że konstytucja zostanie natychmiast wywrócona.

Jednak nie jest to tak proste, jak się wydaje. Vicekrólewskie prawo decyzji ostatecznej może rząd mniejszości zatwierdzić, jako rząd legalny i dać mu do rozporządzenia siłę egzekutywy. Co wtenczas? Tylko rewolucyjna obstrukcja da rozwiązanie. Congress dostanie oficjalne potwierdzenie, że rząd brytyjski panuje wbrew opinji narodu. Atut rewolucyjny nie byle jaki.

Drugim ważkim argumentem przeciw przyjęciu władzy są słabe uprawnienia finasowe parlamentów prowincjonalnych. Możność więc poprawienia bytu zbiedzonej masy setek miljonów Hindusów jest znikoma, mimo, że Konstytucja nowa pewne prorogatywy sejmikom prowincjonalnym przyznała. Jeśli więc główne wydatki na armję i administrację brytyjską wychodzą z pod kontroli sejmu, a zatwierdzane są przez rząd centralny w Londynie... jakże nasza praca, mówią kongresmani, może dać poważne rezultaty?

Jest podawane przytem zabawne porównanie. Konstytucja ofiarowuje nam możność rządzenia ciałem, które jest pokrajane na kawałki. Głowa tego ciała znajduje się w Londynie, tułów w Indjach. Pokażcie, mówi rząd Brytyjski do wybrańców narodu Indyjskiego, że potraficie się rządzić, a damy wam większe uprawnienia. Słowem, my wybrańcy narodu, mamy rządzić tułowiem bez głowy i to ma przekonać rząd Brytyjski o zdolnościach samorządzenia się narodu w Indjach. Sfery sprzyjające rządowi Brytyskiemu stanowczo doradzą partji Congress'u wzięcie władzy w ramach konstytucji i pokazanie narodowi co oni potrafią zrobić z nią w swych rękach, ma to być najlepszym wskaźnikiem i miernikiem dojrzałości samorządzenia. O przykładzie z korpusem bez głowy, oczywiście, nic się nie mówi.

Dość było obstrukcji — czas pokazać, co można i potrafi się zrobić, nawet w skromnych rozmiarach.

Najważniejszem jednak jest, że w łonie Kongresu zdecydowanie zarysowuje się podział na dwa obozy: przyjąć — czy nie przyjąć? „Bombay Chronicle" — organ partji Kongresu nawet otworzył konkurs na najlepsze wypracowanie pro czy contra, i płaci za każdy wydrukowany list po 25 rupji (ok. 50 zł.).

Ci, w ramach Kongresu, którzy są za przyjęciem udziału w rządzie wysuwają następujące argumenty. Wybrani posłowie muszą przyjąć władzę, gdyż natychmiastowym celem i zadaniem wybranych jest ulżenie niesłychanie ciężkim warunkom ludu indyjskiego, który przymiera z głodu. Jest to warunek tak bezpośredni, że nawet kwestja zasad ogólno - indyjskiej polityki niepodległościowej zejść musi na plan nieco dalszy. W razie nieprzyjęcia władzy przez Congress elementy reakcji natychmiast wyzyskają sytuację dla siebie i wytworzony faktyczny stan rzeczy będzie najmocniejszym argumentem przeciw samemu Congressowi. Trzeba najpierw pokazać narodowi że coś się jest dla niego gotowym zrobić, i to natychmiast; że agitacja i propaganda wolnościowa będzie prowadzona nietylko na zewnątrz w kraju, ale w łonie samego parlamentu i przy najbliższej sposobności partja Congressu potrafi stworzyć takie warunki, które zmuszą do zmiany konstytucji.

Nie wierzą oni, żeby nie przyjęcie władzy mogło w najbliższej przyszłości poprawić szanse rewizji konstytucyjnej. Nawet gdyby w Londynie Labour Party przyszła do władzy, upłynie dużo czasu zanim nowa propozycja zostanie zaakceptowana. Jest to powolna maszyna.

Szanse zwołania ogólno Indyjskiego sejmu konstytucyjnego są zbyt niewyraźne. Wiadomem jest, że wielkie masy wyborców w Indjach są w najwyższym stopniu ignoranckie. Są to analfabeci kompletni nie zdający sobie zupełnie sprawy, co oznacza demokracja. Propaganda przeciw indyjska ukryta jest pod płaszczykiem niepoczytalności partji Congressu i może niepodległościowcom spłatać niebylejakiego figla. Przyjęcie władzy jest więc koniecznością. Pogodzenie przyjęcia jej z hasłami przedwyborczemi nie natrafi na żadne trudności.

Nie mam prawa wypowiadać się za czy przeciw takiej wewnętrznej polityce Indyjskiej wydaje mi się jednak, że Congress ujmując władzę w swe ręce potrafi łatwiej wywierać presję na rząd Brytyjski i sprzeciwiać się vicekrólewskiemu prawu „Veta", aniżeli będąc poza władzą. Łatwiej będzie partji Congressu przy władzy uchwalać ustawy, które będą potem kasowane przez vice - kóla, ale co do słuszności których Congress będzie zawsze mógł przez propagandę odnieść się do opinji publicznej i jeżeli kasowanie praw uchwalonych przez prowincjonalny rząd legalnie wybrany będzie zbyt częste, tem samem dowiedzie rządowi Brytyjskiemu, że Konstytucja musi być zmieniona, gdyż jest w sprzeczności codziennej z dezyderatami narodu.

Nie bawiąc się znów w przepowiednie i proroctwa, wydaje mi się, że partja Congressu, mimo, że będzie to pierwszym aktem otwarcie sprzecznym z hasłami elektoralnemi, przyjmie władzę w prowincjach, gdzie rozporządzać będzie absolutną większością, a zniesienie konstytucji nastąpi ze strony samych rządców prowincjonalnych później.

ODCZYT O POLSCE W INDJACH

Dn. 20 lutego w auli Uniwersytetu Bombajskiego red. J. J. Pełczyński wygłosił po angielsku odczyt zatytuowany: „European Peace and the Economic Situation of Poland" (Pokój Europejski i sytuacja gospodarcza Polski). Przewodniczył znany ekonomista prof. C. N. Vakli, rektor School of Economics and Sociology Uniwersytetu Bombajskiego.

Na odczycie obecny był szereg osobistości ze świata gospodarczego i politycznego, nasz konsul Dr. E. Banasiński, oprócz miejscowych studentów. Przewodniczący gorąco podziękował prelegentowi za ciekawe ujęcie tematu, podkreślając znamienną wspólną cechę obu narodów, które rozumieją się niezawodnie lepiej niż inne, gdyż oba przeżyły półtora wieku pod obcem panowaniem.

Prasa Bombajska b. przychylnie recenzjowała o odczycie red. Pełczyńskiego, o którego pobycie w Indjach zamieściła już kilka specjalnych. wywiadów.

ZWYCIĘSKIE AMBO

Reportaż z nad Tybru

Kol: Nro: 7 1053 Zapł: Zł 1 gr: 15

No ciągnienie dnia 7 MARCA

Roku 1787. determinowane Administracyą Loteryi Kraiowey Rzeczypospolitey Skarbu Koronnego, z Banku na grę wyznaczonego 12000. Czer. Zł. za ktore J. J. PP. Tepper i Blank Skarbowi Koronnemu zaręczyli, za Numera wyciągnione a na tym Bilecie zgodnie z Protokułami (w Archiwum) Loteryi zamkniętemi zgadzaiące się zapłaci w proporcyi stawki, za Extrakt simplex 14. razy, za Ambo 240. razy, za Terno 4800. razy stawkę.

Terno Zł: 4000

Ambo Zł: 40

Extrakt Zł:

Syreny w robotniczej dzielnicy rzymskiej San Lorenzo obwieściły przerwę południową. Z bram, furt i furtek fabryk i warsztatów wysypały się setki i tysiące pracowników wprost od pracy. Ale jakieś dziwne „południe" było tego dnia. Nie otwierano manierek, nie odkorkowywano mniejszych i większych „fiask" z chianti, nie wchodzono do licznych trattorii, gdzie gwar, śmiechy lub dyskusje panowały zazwyczaj w godzinie południowego posiłku. Tym razem gwarno było na ulicach, bo całe grupy robotnic i robotników biegły nie do winiarni czy skromnych jadłodajni, lecz do małych sklepów o pustych wnętrzach i wystawach. W tych dziwnych, napozór nieatrakcyjnych sklepach były tylko szerokie lady sklepowe, trzech lub czterech skupionych jegomościów, piszących i zapisujących błyskawicznie jakieś ćwiartki papieru. Starszy kierownik z piórem za uchem witał licznych klijentów schyleniem głowy, przyjmując od nich poufne zwierzenia. Do tych to sklepów biegły, w to sobotnie południe tłumy, nie bacząc na porę obiadową. Na witrynach sklepowych i na ich szyldach widniały tylko dwa wyrazy: „Banco Lotto".

Obserwowałem przez dłuższy czas ten masowy napływ klijentów do nieznanych mi sklepów. Zaintrygowany, po chwili wszedłem do wnętrza i przysłuchiwałem się rzucanym szeptem zestawieniom liczb. Co chwila słyszałem dziwne dla mnie słowa: „ambo", „terno", „ambo", „ambo" — nagle ze specjalną powagą wygłoszone „quaterno". Szybka obserwacja, parę wyjaśnień, udzielonych mi przez jednego z grzecznych „klijentów", uświadomiło mnie dokładnie. Byłem w lokalu loterji liczbowej — najpopularniejszej instytucji we Włoszech. „Banco Lotto" — bank loteryjny zbierał stawki w soboty tylko do godziny pierwszej, więc gdy w tygodniu miał równomierny, stały dopływ klijentów, to za to w soboty „w ostatnich godzinach" był istny run — do jego okienek. Byle zdążyć! Ci co otrzymywali wypłatę dopiero w południe i ci, co wierzyli w szanse ostatniej godziny — parli do okienek kas loterji liczbowej, która niemal na każdej ulicy miała swoje „banki lotta". Wyniki ciągnienia sobotniego znane są już popołudniu, chociaż ciągnienie odbywa się w siedmiu miastach włoskich tak odległych od siebie jak np. Medjolan, Turyn i Neapol! Są gracze, co mieszkają w Rzymie, ale pochodząc z Bari, grają tylko na wynik w Bari — stawiając osobiście w Rzymie.

Kiedym zrozumiał sens tego sobotniego „runu", postanowiłem pójść w ślady licznych graczy z dzielnicy San Lorenzo. „Niech pan zagra tylko na narodowe ambo neapolitańskie" — rzucił mi jakiś młody robotnik.

— Narodowe ambo?

— A tak, dodał, 6 — 22 już cztery razy padło kolejno w Neapolu, niech pan spróbuje. Jeszcze dwa razy musi wyjść.

Było to powiedziane z taką pewnością siebie i nieomylnością, że podszedłem do starszego pana z piórem za uchem i kładąc 2 liry, powiedziałem niemal w trybie rozkazującym: „Ambo 6 — 22 Napoli". — Dostałem swój los błyskawicznie wypisany. Schowałem go głęboko w pugilaresie i wróciłem do domu. O godzinie 6-ej pp. ze drżeniem serca kupiłem piąte wydanie rzymskiej „Tribuny" i szybko otworzyłem stronę z ciągnieniem loteryjnym. Oczom swym nie wierzyłem. W rubryce: Neapol — stało jak wół największym groteskiem 6 — 22! Moje Ambo! Wygrałem. Narodowe ambo neapolitańskie znów nie zawiodło. Zainkasowane 120 lir nie było fortuną, ale sprawiło wiele radości i załatwiło parę pożytecznych sprawunków. Od tej pory stałem się wyznawcą amba i terna — nie było to ani hazardem, ani wysiłkiem raz na tydzień „oszczędzone" 2 liry, (lub czasem dwa razy po dwa) rzucić na traf Fortuny. Tych 2-ch czy 4-ch lir nie czuło się, gdy jakieś ambo zawiodło, ale gdy dopisało, te kilkadziesiąt zgarniętych z lady „Banco Lotto" lir miało czasem wielkie znaczenie, a często jeszcze większy urok. Nic dziwnego, że dla rodowitych Włochów czy to z dzielnic robotniczych, czy handlowych, czy eleganckich specjalnie postawienie sobotnie stało się przyzwyczajniem. Przyzwyczajeniem niemal beznamiętnym, bezhazardowym. Stawka sobotnia mieści się w stałych wydatkach codziennych.

Za to wygrana jest ulgą, przyjemnością, często wyprowadzeniem z kłopotów. Kto wie czy unormalizowanie w ten sposób naturalnej inklinacji ludzkiej do gry nie sprawiło iż tak mało widzimy we Włoszech nocnych i nie nocnych spelunek hazardu. Domy gry, tajne kluby, podwórzowe trzy karty, złodziejskie automaty nie mają tam żniwa. Sumy idące przez banki loterji liczbowej — mają kontakt z kasami skarbowemi, kto przegrał, nie oddaje swych pieniędzy wydrwigroszowi, lecz w formie najmilszego podatku zasila bezboleśnie potrzeby skarbowe. A że gra setki tysięcy — więc i wygrywają tysiące.

Po pewnym czasie gdym zmieniał dzielnicę, pierwszą moją wycieczkę krajoznawczą stanowiło zbadanie: gdzie jest najbliższe moje „Banco Lotto", zanosiłem tam w sobotę dwa liry. Odbierałem kilkakrotnie sumy „godne" tej wytrwałości.

* * *

„Narodowe ambo Neapolu" kazało mi poszukać naszych polskich tradycji. Bez wysiłku doszperałem się, że dość to zażywna już tradycja, gdyż nasza własna loterja liczbowa powstała w 1780 - ym roku, założona na potrzeby szpitalnictwa, w przeciwieństwie do loterji pruskiej, powołanej do życia na potrzeby więziennictwa. Powołana za Stanisława Augusta loterja liczbowa przetrwała do lat trzydziestych. Szczęśliwy los, którego podobiznę tu reprodukuję świadczy, że gwarantowana przez bankierów Teppera i Blanka cieszyła się nie mniejszym powodzeniem niż współczesna liczbowa loterja we Włoszech, która od Bari, aż po Turyn, w Rzymie i Palermo tępi pokątny hazard, a niesie wygrane wielu tysiącom — nadwyżkę przelewając nie do kieszeni frantów, lecz do kas skarbowych.

Marek Zawisza.


Soir
de Paris
Evening in Paris
BOURJOIS
PARIS — FRANCE


Soir
de Paris
Evening in Paris
BOURJOIS
PARIS — FRANCE

ST. BERNADZIKIEWICZ

PRZEZ PUSTYNIĘ LODOWĄ SPITZBERGENU

Z POLSKIEJ POLARNEJ WYPRAWY 1936 ROKU

Buty „w nocy" wystawiamy „za drzwi" by wyschły... na słońcu



Z saniami przez rozmokłe śniegi



Na płaskowyżu Nowej Fryslandji

Słońce tuż z ponad mgły raziło promieniami. Biały kożuch wisiał nisko nad morzem. Skrzyły się kryształowe ściany lodowców, wypełniające światłem wnętrze fiordu. Szklane bryły lodowych gór, przeświecające delikatnym seledynem witały nasz statek. „Lyngen" wpływał do Hornsundu. Tu mieliśmy wyjść na ląd.

Krzaczaste brwi, siwy sumiasty wąs, łagodny uśmiech starego pilota; dzwonek sygnałowy z mostka kapitańskiego i szybkie, zgrabne zwroty okrętu; niekończący się potok słów z ust rudego Niemca, meteorologa, biadającego, że przez ziemię Nordenskjölda nie przejdziemy z naszymi saniami bo „tam przecież nie ma lodowców"; ciekawość w błękitnych oczach młodej niemeczki „czy pan się nie boi?"; niedowierzanie, a potem przerażenie na pomarszczonej twarzy Anglika: „jakto, nie macie psów?"; wyblakłe od morskiej choroby twarze moich towarzyszy, trzask migawek w rękach żądnych sensacji turystów, szorstkie, serdeczne uściski marynarskich łap — — i wreszcie siedzimy w łodzi na skrzyniach, plecakach, saniach i nartach.



Zatoka Hornsund w blasku słońca o północy

Zimny wiew idzie od lądu, wzdyma jedwabną pidżamę Doktora Wan Czeng Fu. Ten, jak zwykle, notuje coś skwapliwie w nieodłącznym notesie. Zapewne nasze nazwiska, obok nazw spotkanych po drodze ptaków, obok podyktowanej mu wczoraj przez botanika listy spitsbergeńskich porostów i mchów, obok długiej litanji fiordów, miast, ulic i tylu innych zjawisk, o które otarł się w czasie swej podróży z dalekiego wschodu.

Ciemny nóż skalnego przylądka wciął się w puch mgły. Biały kłębek wisi w połowie pionowego ostrza — Sofiakammen. Wiatr zdusił mgły, zepchnął ku morzu — nieoczekiwanie wystrzelił skalny pióropusz Horsundtindu. Tak samo dumny, jak przed dwoma laty. Niezdobyty.

Ciemny kłąb dymu wypluty z przysadzistego komina. Zostaliśmy sami.

Lekko skrzypią, ocierając się o siebie, kołysane falami fantastyczne bryły lodowych gór. Słychać żałosne kwilenie wielkiej białej mewy, zataczającej kręgi nad stosem naszych skrzyń. Wywalone drzwi, dziurawej ściany zmurszałej chatki łowieckiej, połamany prawosławny krzyż na mogile z kamieni, drapieżnie naga czaszka niedźwiedzia, zasypane gruzem żebro wieloryba — kamienne wybrzeże przecięte pajęczyną płytkich potoków. Wielkie płaty śniegu i wypełzający z mgły jęzor lodowca, na który jutro wejdziemy.

Polarny ląd wita nas ziąbem wiatru, pustymi oczodołami niedźwiedziej czaszki i blaskiem kryształowych okruchów lodowych gór na nagim, pustym wybrzeżu.

* * *

Wielkie doliny okryte srebrnym płaszczem lodowców, po same wierzchołki gór, po czarne grzebienie skał. Zuchwała, ze wszystkich stron jednakowo niedostępna turnia Horsundtindu i nad bielą śniegów wywieszony ponury Ząb Rekina — Haitanna! Mozolne dźwiganie ćwierćtonnowych sań po stromych zboczach przełęczy, odciśnięte na ramionach pręgi uprzęży i wielokilometrowe zjazdy po nośnych firnach w doliny bez kresu, w doliny bez echa, które daremnie chcemy obudzić okrzykiem, ginącym tuż u wylotu z ochrypłej krtani we wszechobecnym puchu śnieżnym. Beztroskie słoneczne dni, orgja co dzień nowych krajóbrazów i co raz wspanialszych, o każdej go dzinie dnia, życie nad stan roztropnie wyliczonych porcji jedzenia — to Ziemia Południowego Przylądka.

Słoneczny obraz przecięty smugą brudnej mgły i wilgoci wśród płaskiej pustyni kamiennej w szybkiej wędrówce przez setki potoków ku Przylądkowi i pierwsze zetknięcie z tajemniczym, kuszącym życiem trapera w opuszczonej chatce na wybrzeżu. Pierwszy dzień niepogody na lodowcu i pierwsza noc w mokrym śpiworze. Zgrabny namiot ginie pod zaimprowizowanym dachem nieprzemakalnej płachty zdjętej z sań — pierwsze przykre doświadczenie z niedostatecznie dobrym, z braku funduszów, „łaskawie ofiarowanym" sprzętem.

Zjeżdżamy saniami poprzez spękaną wyrwę lodowca. Ostrożnie przemykamy się z trudnym do kierowania ciężarem sań przez zdradliwe, miękkie mosty śnieżne, zawieszone nad czeluścią szczelin i dłu-



Charakterystyczne pasiaste góry w głębi pustynnej wyspy

go kluczymy dla rozwinięcia labiryntu pęknięć pięćdziesięciu kilometrów lodowca Horna. Z radością odnajdujemy przez lornetę kamienne kopce, ustawione przed dwoma laty. Złowieszczy szum nagle z pod śniegu uwolnionego potoku na lodowcu Polaków i głuchy hurgot wody w bezdennych studniach lodowych jest jedynym dźwiękiem, jaki słyszymy. Dwanaście godzin zmagamy się z bystremi nurtami lodowcowych rzek, tracimy wiatrówkę zerwaną prądem z przewróconych sań — stąd smutna konieczność dla jednego z nas marszu w deszcz i śnieg bez nieprzemakalnego okrycia.

Pierwsze zetknięcie z powierzchnią języków lodowych wolnych od śniegu, wytopionych w zmarszczki, grzebienie i fale i pierwsze wióry z hikorowych płóz zdarte kamieniami moren — to Ziemia Torella.

Zadymka śnieżna, wiatr siecze dżdżem w oczy daremnie wyszukujące drogi przez mgły. Chronimy się przed wichrem za murkiem z firnowych brył, gdzie spędzamy długie godziny przymusowej bezczynności dla przeczekania niepogody. Konieczność ograniczenia porcji dziennej żywności i jedyna chwila zwątpienia w osiągnięcie celu, mąci nastrój i osłabia wiarę w zwycięstwo. Ale zato symfonja świateł i cieni w pochodzie kłębiastych chmur wśród gór pociętych strugami kamiennych lawin, i powódź mgieł oglądana z wierzchołka samotnego nunataka — to Ziemia Nathorsta.



Ślad przez śnieżną pustynię lodowiska Fryslandji

Powoli, powoli narastał upór, zawziętość. Rodziło się hasło „co dzień dalej". I pociecha: „co dzień lżej" — wyrzucone puszki od konserw, puste skrzynie, znaczyły dni wędrówki.

Nieustannie zdzierały się płozy sań, a miały jeszcze wytrzymać nie jeden pas kamiennej moreny, miały się „ślizgać" po gruzie i mchach Ziemi Nordenskjölda. Brawo sanie — brawo!

Niepotrzebnie się trapił rudy meteorolog — przez dwudziestokilometrowy pas tundry przenieśliśmy bagaże na plecach, w trzech nawrotach. Zabrało to nam tylko dwa dni czasu.

W mętnej wodzie szeroko rozlanej rzeki w dolinie Kjellström trzeba się było zanurzyć po pas trzy razy żeby łatwiej znieść półtoragodzinną kąpiel w przeprawie przez rzekę doliny Sassen. Nagrodziły nas za to dwie godziny drzemki na puszystym dywanie tundry w zacisznej dolince Skut, jedynie dwie ciepłe godziny w ciągu dwumiesięcznej wędrówki, i rozkoszne lenistwo dwóch dni sielanki w chacie myśliwca Hilmara Nöisa w Zatoce Świątyni.

* * *

Mieliśmy jeszcze spróbować zupy z okruchów keksów i zapolować — z musu — na nasze przyjaciółki, ciekawe „kumochy", śnieżno - białe mewy, jedyne mieszkanki lodowych pustkowi, by móc ocenić zapach świeżego chleba w kopalni węgla w Longyearbyen i delikatność befsztyków z foki.

* * *

W bezkresnej pustyni Centralnego Płaskowyżu Lodowego załamała się wyprawa naszych poprzedników, trzech Norwegów, pierwsza próba przejścia od Południowego Przylądka do północno - zachodnich wybrzeży, przez całą długość Zachodniej Wyspy Spitzbergen. Zakończył ją odwrót z dwóch - trzecich zamierzonej drogi, wskutek braku żywności i nagłego oślepnięcia dwóch uczestników.

W środku Centralnego Płaskowyżu trzymał nas dwie doby w namiocie śnieżny samum, by nauczyć nas wędrówki w wichrze i mgle tylko za igłą busoli.

W dziewiczych górach Stubendorffa cztery dni straciliśmy na po-



Mgły nadchodzą

szukiwania lodowca, na którym właśnie byliśmy. I wreszcie linja cierpliwego śladu przecięła jednostajność ledwie sfalowanej wyżyny śnieżnej płaskowyżu Nowej Fryslandji.

* * *

24 sierpnia staliśmy na pustynnym kamiennym Przylądku Północnym, 80° 4' szerokości geograficznej północnej. Na północ od nas było już tylko morze. Ocean Lodowaty! Wąska wstęga światła na horyzoncie to odblask lodów morskich.

*

We fjordach Norwegji północ żegnała nas subtelną, zielonkawą draperją zorzy. Wieźliśmy ze sobą doświadczenie 850 kilometrów długiej wędrówki przez lodową pustynię, połamane płozy sań i mocne postanowienie powrotu.

Wszystkie zdjęcia St. Bernadzikiewicza.



Mgły nad zatoką Hornsund. W głębi szczyty Ziemi Torell'a

GUSTAW OLECHOWSKI 25)

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

— Ach. to okropne, — woła żona posła Amfiktjonji — (tyle perfum).

— ...więc oczywiście długi masaż, potem kompresy, specjalny bandaż...

— To niema widoków, by przybył na bal westchnęli jednocześnie — najstarsza córka posła Patagonji i ubogi poseł Heurekji.

— Good God, jakże dobrze zrobiłeś! — pochwalił Pana Boga poseł Wielkiej Brytanji.

Sullivan rozmnażał się, by wszystkim opowiedzieć okropną historję. W potach był cały jak w łaźni, pobiegł do maître d'hôtel'a:

— Lej w gości szampana, ile wlezie.

Do orkiestry:

— Dodam sto koron, tylko grać, grać, przerwy minimalne, aby oddech złapać...

A dla wszystkich wogóle, poza Julitą, damą uperfumowaną i ubogim posłem, było absolutnie wszystko jedno. czy Niks był, czy go nie było, czy ścięgno mu chrupnęło, czy nie.

Ale Sullivan dałby tysiąc koron, żeby mu kto poddał jaką dobrą myśl.

Kazimierz siedział w małym saloniku z młodym poetą, rodakiem posła Sulivana, którego pierwszy już tom poezji zwrócił uwagę całego kulturalnego świata, jednając mu admiratorów ale i najsilniejsze potępienia. Kozetka miała tylko dwa miejsca, co chroniło ich od osób trzecich.

Kazimierz gorzko się uśmiechał.

— Bardzo zabawna jest ironja w objawach dzisiejszej głupoty świata. Jak pan się tu znalazł?

— Zwyczajnie. Podróżuję po Europie. Będąc w stolicy Danji, zaszedłem oczywiście do naszego posła. Poseł ocenił mnie widocznie na dżentelmena, bo mnie zaprosił na dzisiejszy bal, wydany na cześć czampiona boksu...

— Kolosalne! Czy nie należało przyjęcia urządzić raczej na cześć pana, a bokserowi okazać zaszczyt obecności przy tej okazji.

— Czy pan się nie orjentuje — powiada melancholijnie poeta, że poseł nie ma pojęcia, kim ja jestem. Po prostu — Mr Raynolds, a to że ja jestem G. H. Raynolds, autor „Cierniowej Korony", to nie zwróciło jego uwagi. Myślę, że nie musiał mnie czytać.

— Ale ja czytałem i zaraz to powiem Sullivanowi.

A tu Sullivan akurat wpada do pokoju.

— *O, Casimir, dear, you are my best friend, help me please.* Co tu takiego wymyśleć, żeby jakoś szczególnie moich gości zabawić, żeby zatrzeć to okropne wrażenie zawodu?

— Opatrzność nad tobą czuwa, kochany pośle, przecież pan Raynolds — — —

— *How do you do,* Mr Raynolds zresztą witałem się z panem, aha, przypominam sobie, to pan był u mnie wczoraj w biurze, tak, tak, pan jest — zdaje się — architektem, dobry zawód, gdy jest ruch budowlany, może cygaro, o — stoją, *help your self.*

Zim interwenjuje:

— Drogi pośle, pan Raynolds, twój współobywatel, jest największym waszym wspóczesnym poetą.

— Rzeczywiście? A to ładnie, ale przyznam się, że nie czytałem nigdy żadnej książki, gdzieby były pańskie wiersze.

— Jakże mi miło — powiada Raynolds, — nareszcie spotykam pierwszego w życiu człowieka, który —

Robi się coś okropnego. Kazimierz stężał z wysiłku, by nie trzasnąć śmiechem, ale i ze strachu — —

Bo poseł nabrał koloru gotowanej szynki...

— Pan jest złośliwy, panie Raynolds, i pan sobie mówi komplementa —

I roześmiał się z zadowolenia, że się odciął.

— O, nie, panie Sullivan, to nie złośliwość przeze mnie przemawia i ja sobie nie mówię komplementów, wprost przeciwnie, cieszę się, że spotkałem nareszcie człowieka, który będzie mógł być moim przyjacielem, bo nie zna moich utworów.

Sullivan śmiał się głośno.

— To bardzo dowcipnie, panie Raynolds, *your are very clever, I'm glad,* dowcip — to też jest dobry interes. Ja powiem gościom, że umyślnie przygotowałem im niespodziankę: czampion boksu i czampion poezji.

I pobiegł.

Ale znów się zawiódł, bo Raynolds, pożegnawszy się tylko z Kazimierzem, uciekł w obawie przed następstwami pomysłowości propagandowej posła Połączonych Stanów Teksasu i Cristobalu, a towarzystwo, rozflirtowane oblepiło bufety, gasząc pragnienie i rozum przy akompanjamencie pocisków korkowych, atakujących sufit przyległego pokoju kredensowego. Gwar, śmiech, okrzyki na zdrowie i cześć we wszystkich językach świata...

Kazimierz nie lubił „przypinać" się do nikogo na stałe. Czynił to, gdy miał okazję poważnej rozmowy. Ale na tym kiermaszu obnażonych ciał niewieścich, tańca, muzyki, wina — jedynie wskazaną była polityka motyla. Postanowił bowiem rzucić na tem zbiegowisku w kurs wiadomość, że nosi się z myślą opuszczenia karjery dyplomatycznej. Oszczędzi w ten sposób swemu ministrowi ewentualnych interpelacji.

Gdy stanął wypadkiem tyłem do radcy poselstwa chińskiego, usłyszał głos Konspirina, dopytującego się, czy to prawda, że istnieje dzieś w Tybecie czy w prowincji Yun - Nan roślina, która się nazywa *Yamlang-Peholo,* a która ma tę właściwość, że sok jej, zaaplikowany w najmniejszej dozie nawet, na naskórek — zabija człowieka momentalnie, przenikając przez pory i nie pozostawiając w organizmie ani na ciele najmniejszego znaku.

Chińczyk odpowiedział, że tak jest, ale która to jest właściwie roślina, tego nikt nie wie, oprócz tych, którzy wiedzą, ale ci milczą. W handlu tego soczku oczywiście niema, a gdyby był, to Chiny zmonopolizowałyby taki drogocenny towar.

I okropnie głośno się śmiał.

Zim doznał wrażenia, że chińczyk śmiał się z Konspirina.

Sekretarz poselstwa Pannonji miał już w czubie i niewiadomo poco zwierzał się urzędnikowi ministerstwa spraw zagranicznych, że gdy już siadał do samochodu by, tu jechać, otrzymał szyfr do odczytania, ale go włożył do kasy, niech poczeka do jutra, bo przecież dżentelmen nie może się spóźnić na przyjęcie. Zresztą nie należy się nigdy w dyplomacji spieszyć. Zostawmy pośpiech straży ogniowej.

Posuwając się dalej w tłumie Kazimierz minął dwóch młokosów z miejscowego towarzystwa, z których jeden się żalił, że nie ma przyjaciół, którzyby go protegowali, a sam nie ma dość twardych łokci, na co drugi radził mu serdecznie, po wielu widać kieliszkach, by się ożenił z ładną kobietą, a wszystko pójdzie gładko.

Julita najstarsza córka posła Patagonji, trzymając talerzyk z sandwiczami w jednej ręce a kieliszek z szampanem w drugiej, wita się z jakimś spóźnionym gościem. Szuka miejsca, gdzieby postawiła kieliszek. Tymczasem może podać tylko jeden palec.

— Paluszkiem możebym się nie zadowolnił i zażądał całej rączki.

Julita promieniała.

— Możebym ją panu oddała...

— Pani się tak łatwo decyduje na amputację? Biedactwo.

Zim idzie dalej. Przy stoliku siedzi profesor uniwersytetu i primadonna opery. Profesor je sałatę, primadonna — ozór w galarecie. Obydwoje piją zawzięcie i czulą się się do siebie, jak głuszce.

— Nie, pani, jestem astronomem.

— Ja nie jestem tak niedyskretna, by się ludzi pytać, co robią w nocy, tylko pytam się, czy pan nie uznaje mięsa.

— Owszem uznaję za szkodliwe.

Dwóch urzędników poselstwa Aqitanji bardzo głośno krzyczało, bo jeden z nich był głuchy.

— Przecież świat staje do góry nogami. Nadzieja na śmierć szefa stała się iluzją. Dawniej każdy wiedział, że gdy bezpośredni zwierzchnik przejdzie do wieczności, to się awansuje na jego miejsce. A dziś, im wyższa posada, tem młodszy ją zajmuje.

Kazimierz czuł że mu się czaszka otwiera i że wszystko z niej wietrzeje. Powolutku wysuwał się w stronę halu, zamieniając jeszcze z tym i owym jakieś zdanie...

* * *

Na odczycie była obecna liczna rzesza korespondentów pism zagranicznych. Ich radiogramy rozniosły po świecie odczyty in extenso i oto, po paru dniach, zaczęły napływać do Kopenhagi dzienniki paryskie, londyńskie, wreszcie i amerykańskie, pełne artykułów i korespondencji o treści odczytów.

Do poselstwa polskiego i holenderskiego zdążali teraz dziennikarze wszystkich krajów po wywiady, lecz odchodzili z niczem. Fotografowano tylko obydwu dyplomatów i cytowano ich życiorysy.

Nina znalazła się w swoim żywiole. Założyła archiwum wycinków z gazet. Zaprenumerowała wszelkie europejskie i amerykańskie *„argus de presse"*, odczytywała najmniejsze wzmianki, dotyczące „jej chłopców", segregowała je, przepisywała na maszynie, robiąc dla nich wzajemne duplikaty, jednem słowem — idealnie sekretarzowała obydwu.

W miarę jak dochodziły do członków kongresu z ich krajów i od ich rządów odgłosy odczytów, zaczęto zdawać sobie sprawę, że trójgłos nuncjusza i dwóch *chargés affaires* — polaka i holendra, stał się ewenementem politycznym pierwszej klasy, tem bardziej sensacyjnym, że oficjalna prasa trzech odnośnych stolic bynajmniej nie popierała światopoglądów tych trzech dyplomatów.

Zrozumiano wśród uczestników kongresu, że występ ten, który miał swój styl, bo wszystkie trzy przemówienia logicznie się dopełniały w sposób bardzo wyraźny, miał wspólne podłoże, wspólny pion i tak jakby był wspólną manifestacją jakiegoś nowego „prądu o wysokim napięciu", prądu działającego poza rządami i poza kongresem.

Naprzód pani Johnson, potem stenotypistki, następnie kancelistki i sekretarze kongresowi, a wreszcie i ministerjalne głowy, a potem już wszyscy, wszyscy przyszli do przekonania, że te trzy odczyty zlikwidowały w zarodku samym jakiekolwiek szanse pozytywnej pracy kongresu.

I stało się rzeczywiście tak, że gdy na pierwszem plenarnem posiedzeniu przewodniczący, premier Heurekji, były nauczyciel ludowy z wykształceniem seminaryjnem, zaczął mówić banały powtarzane niezmiennie na wszystkich kongresach, konferencjach i zjazdach międzynarodowych, na galerji co chwila wybuchał śmiech, bo od dziesięciu dni publiczność rekrutująca się z inteligentnych sfer stolicy tak gruntownie wystudjowała w prasie wszystkie trzy enuncjacje, że zestawiając ich głębie i poziom z płycizną komunałów urzędowych, wściekała się coraz bardziej, że mają ją za tak głupią, by można ją jeszcze nabierać na farsę impotentów, stojących „u steru naw państwowych", a nie znających marszruty tych „naw"

Unikano więc potem na kongresie posiedzeń plenarnych i zadawalano się zabijaniem czasu w komisjach.

I tu nastąpiła katastrofa.

Ani Zima ani Willy'ego nie powołano do żadnej komisji, dając do zrozumienia odnośnym rządom, że wobec rozbieżności między poglądami tych panów a znanemi kongresowi poglądami krajów reprezentowanych przez tych dyplomatów — nie jest możliwem zasiadanie ich w komisjach.

Willy był o tyle w mniej przykrej sytuacji, że prasa jego kraju potępiła go jednogłośnie za walkę ze złotem i na tem się ograniczyła, to też rząd Holandji miał bardzo ułatwioną sytuację: odwołał Willy'ego i przysłał na jego miejsce innego pełnomocnika.

Gorzej było z Zimem.

Prasa nadchodząca z kraju ziała na niego oburzeniem ale argumentacja tego oburzenia nie miała żadnej wartości i powagi, bo organy półoficjalne żądały niezwłocznego usunięcia ze stanowiska — człowieka, stojącego w rażącej sprzeczności z tendencjami rządu, nazywając go zdrajcą stanu, międzynarodowcem, i domagały się na niego dyscyplinarnego dochodzenia, a Związek do którego Zim w kraju należał — wyśmiały, choć nie miały pojęcia o jego statucie. Prasa socjalistyczna wymyślała mu od klerykałów i sług Watykanu, prasa nacjonalistyczna twierdziła stanowczo, że Zim jest masonem i że się ożenił z bolszewiczką, prasa żydowska nazwała go największym antysemitą, pisma katolickie zapewniały, że Zim szerzy nową herezję, a organy kapitalistyczne dowodziły, że Zim jest heroldem komuny.

(D. c. n.)



JUBILEUSZ GIMNAZJUM im. L. RUDZKIEJ

W dniu 14 marca odbyła się w Teatrze Narodowym pod protektoratem Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dr. Wojciecha Świętosławskiego uroczysta Akademja z okazji 50-lecia Gimnazjum im. Leonji Rudzkiej. Akademję poprzedziła Msza Św. odprawiona w kościele Św. Krzyża. Sala Teatru Narodowego z trudem mieściła licznie zgromadzone Wychowanki tej zasłużonej polskiej Uczelni, która sięgając początkiem swym czasów największego uciemiężenia Szkoły polskiej, rozwija się nadal pomyślnie już w Wolnej Odrodzonej Ojczyźnie. To też z prawdziwem wzruszeniem widzieć można było obok posiwiałych uczenic ś. p. Leonji Rudzkiej drugie i trzecie pokolenie trwające bez zmiany przy Sztandarze Szkoły.

Akademję zagaiła Pani Wanda Ładzina b. wychowanka Szkoły Leonji Rudzkiej, przewodnicząca



Komitetu Organizacyjnego i Koła b. Wychowanek.

Prof. Uniw. Jagiellońskiego Ignacy Chrzanowski w swojem pięknem przemówieniu przypomniał walki, jakie przed laty toczyli bojownicy o Szkołę Polską. W pierwszym szeregu tych bojowników szła ś. p. Leonja Rudzka.

Prof. Paweł Sosnowski dał krótki obraz rozwoju szkolnictwa polskiego z czasów przedwojennych. Następnie ks. prałat dr. M. Węglewicz odczytał list ks. kardynała Kakowskiego z błogosławieństwem dla uczestników Zjazdu, oraz list ks. biskupa Szlagowskiego.

Głębokie wrażenie wywarło na wszystkich przemówienie p. Mgr. Wandy Kaźniakowskiej delegatki Koła b. Wychowanek Szkoły, która dała piękną i głęboką charakterystykę ś. p. Leonji Rudzkiej. — Pozatem przemawiała dyrektorka Gimnazjum dr. Marja Kuźmińska. Zakończyła przemówienia p. Zofja Gloeh, uczenica kl. VIII gimn.

W dziale koncertowym Akademji wystąpiły pp. Jagodzińska-Niekrassowa (fortepian) i Janina Godlewska - Bogucka (śpiew). Chór szkolny wykonał pieśni: „Bogurodzica" i Cześć Polskiej Ziemi".

W godzinach wieczorowych byłe i obecne wychowanki oraz profesorowie podejmowani byli niezwykle serdecznie i gościnnie przez obecną przełożoną panią Aleksandrę Przyremblową. — Na zebraniu tem odczytano kilkadziesiąt depesz, nadesłanych przez różne instytucje, Szkoły i osoby prywatne.

Przemysł lwowski w stolicy z za szklanej ściany

(j. p.) Przemysł czekoladowy lwowski ma za sobą chlubną renomę, sięgającą czasów przedwojennych. Jego wytwory wyodrębniają się spośród cukierniczych produkcyj innych dzielnic Polski. Wzorowane są one na słynnych swego czasu w całej Europie wyrobach wiedeńskich. Tajemnice tej słodkiej wiedzy przenieśli fachowcy na teren Lwowa i stąd tradycja uszlachetniona inwencją polskiego producenta dała w sumie artykuł pierwszorzędnego gatunku o wytwornym smaku.



FOT. J. MALARSKI

Toteż z prawdziwym zadowoleniem powitać należy fakt, że jedna z przodujących firm przemysłu czekoladowego w Polsce „Branka" S. A. we Lwowie otworzyła obecnie w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 149 nowy sklep, wzbogacając tym sposobem rynek stołeczny towarem wyborowym z działu cukierniczego.

Nowy sklep firmy „Branka" jest na tym odcinku jednym z najbardziej ruchliwych w Warszawie — wybitnym akcentem nowoczesnego stylu. Wymogi estetyki rozwiązane są tutaj z zadziwiającą harmonją i dużą dozą oryginalności, wyróżniającej ów sklep wśród innych. Cała zewnętrzna elewacja składa się z wielkiej tafli szklanej, gładkiej bez napisów i wiązań. Jedynie na dole ujęta jest w szeroki pas metalowy. Z tegoż metalu w tonie oksydowanej miedzi wykonane są drzwi, znaczące się na szklanej ścianie, jak stylizowana modernistyczna klamra. Nad wysoką szklaną elewacją lśni się neonowy, lazurowy napis „Branka".

Nie ma tu szablonowych witryn wystawowych, gdyż przechodząca publiczność całe wnętrze sklepu, będące właściwą wystawą, ma jak na dłoni. Jedynie po obu stronach ustawiono, jakby od niechcenia, jednoskrzydłowy niski ekran, wykonany z samodziałów w szkockim deseniu i na jego tle gablotki demonstrują czekoladę i cukry. Stąd wnętrze nie robi wrażenia typowego sklepu, raczej nosi charakter saloniku. Ściany wytoczone są w rodzaju owalnego półkola, bez linij ostrokątnych. Oryginalna sztukaterja wykonana grubym chropawym nalotem w barwie złotawej, pokrywa większą część ściany z pod której o parę cm. wysuwa się mur gładki, w kolorze seledynowym. Obie barwy oraz foteliki kryte ciemnofioletowym aksamitem, podłoga wykonana z gumy, wyglądająca jakby z zielonkawego marmuru, stwarza miłą dla oka kompozycję. Oświetlenie posiada tu dwa źródła: jedno umiejscowione w suficie w kształcie dotąd nigdzie niespotykanym, jest to jakby ławeczka huśtawkowa zawieszona na suficie na linach metalowych posiadająca wysokie lampki w formie palących się świec. One to rozsiewają światło równe, łagodne, a jednak bardzo intensywne na cały magazyn. Z boku u ścian zainstalowane są oryginalne nowoczesne lampy, jak duże metalowe czary. Zasługuje też na uwagę wielka półkolista lada sklepowa wykonana w matowym palisandrze, w którym jak w lustrze przeglądają się liczne opakowane wyroby firmy „Branka". — Szczęśliwie uniknięto tu zbyt wielkiego natłoczenia towaru, zachowano umiar. Umeblowania dopełniają stylowe szafy — etażery, gdzie za szkłem rozłożono piękne, artystyczne bombonierki.

Sklep firmy "Branka" posunął znacznie naprzód postęp w dziedzinie estetyki sklepowej w naszej stolicy i stanowi efektowny fragment śródmieścia, ściągając tłumy ciekawej publiczności. Niewątpliwie przyczyni się też do rozszerzenia grona zwolenników czekolady, cukrów, wafli, biszkoptów i keksów tymbardziej, że jak już powszechnie wiadomo—wyroby „Branki" zadawalają najbardziej wybredne wymagania.

CZY PANI WIE, ŻE...

...wiosna jest klasycznym sezonem mody na trykotaże. Każda z pań odświeża garderobę, każda nabywa nowe pończoszki w modnych odcieniach, każda mieć musi nową garsonkę czy pulowerek pod płaszczyk. Nieocenione, praktyczne, niegniotące i zawsze eleganckie — wyroby trykotażowe są w tym sezonie jeszcze modniejsze niż zwykle.

Wszystkie panie stwierdziły, że największy wybór i najprzystępniejsze ceny przy wysokiej jakości wyrobów znajdą niezawodnie w znanej firmie

JAN MATUSZEWSKI
Marszałkowska 102, Marszałkowska 154, Chmielna 33, Nowy Świat 40, Marszałkowska 56.

■

...panie z prowincji żalą się, że nie mając instytutów kosmetycznych, nie mogą pielęgnować swej cery. Są jednak sposoby domowe niezawodne, stosowane jeszcze przez nasze prababki, i znajdujące się zawsze „pod ręką".

Ze starego zeszytu „sekretów toaletowych" prababki wyjmuję ten oto prosty przepis. Raz na tydzień wieczorem stosować taką kurację: natrzeć twarz i szyję świeżą oliwą nicejską lub olejkiem migdałowym. Poczem zrobić sobie „parówkę", trzymając twarz nad miednicą, napełnioną gotującym naparem z rumianku. Parówka trwać winna 5 minut. Następnie zrobić sobie maseczkę z rozbitego świeżego surowego żółtka, rozpostrzeć równo na skórze za pomocą waty. Gdy zaschnie, potrzymać maseczkę pół godziny. Spłókać wodą letnią dokładnie, i zakończyć prysznicem z wody zimnej. Skóra będzie cudownie odświeżona, pory się zamkną i cera nabierze młodzieńczej jędrności.

■

...jesteśmy w pełni sezonu wiosennych porządków. Generalne przedświąteczne sprzątanie wymaga przedewszystkiem doprowadzenia do świetnego blasku naszych posadzek i podłóg. To też setki tysięcy pań domu w całej Polsce nabywają w tym czasie znakomitą **zaprawę do podłóg** firmy DOBROLIN — bo wiedzą, że żadna inna nie da tak pięknego połysku.

■

...rzodkiewki okazały się, według ostatnich badań drów Eimera i Heinricha, ogłoszonych w „Medizinische Welt" znakomitym środkiem, zwalczającym cierpienie wątroby. Nie wszystkie organy dobrze znoszą rzodkiewki, ale osoby, którym one nie szkodzą, powinny w razie objawów żółciowych, używać jak najwięcej tej zresztą tak smacznej jarzyny. Specjalnie skuteczny jest sam sok, wyciśnięty z utartych na tarce rzodkiewek.

Dama Pikowa.

J. PAWŁOWSKA

SONATA APPASSIONATA

(n o w e l a)

Kiedy po przegraniu kilku utworów Beethowena doktór Tomasz usiadł obok mnie w fotelu, poprosiłam, żeby zagrał jeszcze sonatę appasionatę, którą tylko raz kiedyś słyszałam, a która wywarła wówczas na mnie bardzo silne wrażenie. — Już kilka razy poprzednio prosiłam doktora o zagranie tej sonaty, lecz zawsze wynajdował jakiś powód odmowy. — I tym razem byłam przygotowana na to, że prośba moja pozostanie bez skutku. — Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas, poczem doktór Tomasz wstał, usiadł przy fortepianie, i zaczął grać.

Zagłębiona w fotelu, przeglądałam angielskie dzieło Dantego, nie zwracając większej uwagi na muzykę, gdy nagle przebiegł mnie jakiś febryczny dreszcz... — Oderwałam wzrok od książki i spojrzałam na twarz doktora; twarz jego była blada i zupełnie zmieniona.— Chwilami podnosił oczy i jakimś zamglonym wzrokiem patrzył gdzieś w dal, jakby wiążąc akordy i dźwięki muzyki w jakiś tragiczny węzeł dalekich przeżyć, czy wspomnień... — Grał sonatę appasionatę.

Gdy skończył, usiadł znów przy mnie, i jak po wielkiem zmęczeniu opuścił bezwładnie ręce i zwiesił głowę. — Nie widziałam go nigdy w takim nastroju. Nie mogłam się zdobyć na przerwanie ciszy i nawet zaczęłam żałować, że skłoniłam go do zagrania sonaty.

Po kilku chwilach doktór Tomasz raptem otrząsnął się z zadumy, rozpoczynając taką opowieść:

— Przed laty, gdy obowiązek wzywał mnie, jako studenta medycyny, do sal klinicznych i prosektoriów, serce i młody umysł rwał się do muzyki, a w szczególności do Beethovena. — Jednocześnie z medycyną uczęszczałem do Konserwatorium, a wśród kolegów i nawet niektórych profesorów uważany byłem za jednego z lepszych wykonawców utworów Beethowena.

Pewnego dnia, gdy przygotowywałem się do semestralnego egzaminu, wpadł do mnie przyjaciel mój, ksiądz, profesor teologji, wielki miłośnik muzyki.

— Musicie natychmiast jechać ze mną na wieś do witebszczyzny — wykrzyknął już od progu — mam wiadomość, że przyjechała tam pianistka, uczenica Rubinsteina, świetna Beethowenistka; musicie koniecznie zagrać z nią na cztery ręce.

— Człowieku — zawołałem — ależ to niemożliwe! — Ja tu mam na karku egzamin z medycyny, a wy mnie chcecie wieźć setki kilometrów dla nieudolnego zagrania Beethowena?! — Pomimo długich nalegań nie chciałem się zdecydować jechać. Ksiądz wyszedł urażony.

Pozostawszy sam, brałem po kolei jedną książkę za drugą ale nic z nich nie chciało mi wejść do głowy... Pokusa była zbyt silna—Beethowen na cztery ręce z uczenicą Rubinsteina! — Przy wieczornym pociągu, odchodzącym do Witebska, z małą walizeczką w ręku, oczekiwałem mego przyjaciela księdza...

*

Młodość jest często zbyt pewna siebie i bezkrytyczna co do własnych zdolności. Pani Olga — takie było imię pianistki—grała Beethowena po wirtuozowsku, ale ja... — Już po pierwszem zagraniu przeze mnie jakiegoś utworu powiedziała: „Panie, ależ pan niema pojęcia o Beethowenie!"

Ale po kilku dniach i wielu obustronnych wysiłkach zupełnie nieźle zagraliśmy razem kilka utworów. Przyjaciel mój, a wtedy nieodłączny nasz towarzysz, ksiądz, szalał z zachwytu. — Tylko jednego utworu nie mogłem choć możliwie zagrać: sonaty appassionaty.

„Bo muzykę trzeba rozumieć, trzeba ją odczuwać — mówiła pani Olga — a pan, jak widzę, wcale tej sonaty nie rozumie; ja też jej długo nie mogłam zrozumieć, aż kiedyś profesor mój wytłomaczył mi ją w tych słowach — i pokazała mi zdanie, nakreślone przez Rubinsteina, obok tytułu sonaty: „Tak stuczit sudźba w dwier czełowieczeskoj żiźni"*) I teraz ją rozumiem — tak, teraz ją rozumiem"— powtórzyła w zamyśleniu, a mnie przeszył jakiś nieokreślony lęk...

Graliśmy ciągle. A ja w zachwyceniu nie tylko grą, ale i całą istotą pani Olgi, zapomniałem o egzaminach i o całym świecie.

W ciągu całego czasu do dworu przyjeżdżało mnóstwo osób z sąsiedztwa, żeby się rozkoszować piękną muzyką pianistki.

Tak minęło szczęśliwie kilka tygodni i zbliżał się dzień mego odjazdu. Pani Olga i ksiądz mieli pozostać na wsi jeden dzień dłużej.

W przeddzień wyjazdu pianistki był wielki kulig. W południe długi szereg sań wyruszył z przed ganku

*) Tak puka przeznaczenie do drzwi życia ludzkiego.





dworu. W pierwszych saniach usadowiła się nasza nieodłączna trójka — pani Olga, ksiądz i ja.

Był przecudny, mroźny, słoneczny dzień. — Od blasku słońca miejscami kładły się na śniegu fioletowe cienie, a droga skrzyła miljonami brylantów; z obydwu stron drogi stał gęsty mur świerkowych drzew, których gałęzie, przygięte puszystą bielą śniegu, robiły wrażenie jakiejś cudownej leśnej bajki...

Całe towarzystwo było rozbawione; śpiewy i śmiechy trwały bez przerwy. Tylko na naszych saniach panowała cisza i jakieś dziwne skupienie. — Raptem w pewnej chwili ksiądz gwałtownie zatrzymał sanie, podniósł się z siedzenia i wyciągnął przed siebie rękę. — Za nami cały korowód sań stanął w miejscu. — Wszyscy spojrzeli w kierunki ręki księdza i, jak na znak dzwonka w kościele podczas podniesienia zaległa cisza, tylko przeciągły szmer westchnienia z wielu ust przebiegł skroś drogi.

Na prawo, w trójkącie ośnieżonych świerków, rozpościerała się zalana słońcem wielka polana, a na jej środku stały samotnie trzy równe, wyniosłe sosny. — Wrażenie widoku zostało spotęgowane, gdy ksiądz trzymając podniesioną rękę zawołał: „Patrzcie i podziwiajcie!— czy taki cud przyrody nie mówi nam o potędze Najwyższego, który jest mocen ruszyć z posad świat cały?!"

Parę chwil trwało grobowe milczenie, gdy nagle usłyszeliśmy dolatujące z polany lekkie skrzypienie... Przed naszemi oczyma, w bezwietrznej ciszy, zaczęła się chylić jedna z trzech sosen i zaczepiając gałęziami o pozostałe, jakby je prosząc o ratunek, osunęła się na polanę.

Dreszcz grozy przebiegł wśród uczestników kuligu. — Bez gwaru i w jakiemś modlitewnem skupieniu wróciliśmy wszyscy do dworu.

Tego dnia pani Olga nie chciała już prawie zupełnie grać; zagrała tylko jedną rzecz — sonatę appassionatę. — Ja nie miałem pojęcia co się ze mną dzieje, w połowie sonaty uciekłem z salonu. — Wieczorem wyjechałem.

Choć noc i dzień następny spędziłem w podróży, znalazłszy się w domu męczyłam się całą noc nie mogąc spać. — Jakieś widma — koszmary kojarzyły się w półsennej wyobraźni z bajkową, cudną polaną i zwaloną sosną... Rano otrzymałem od przyjaciela, księdza, depeszę: „Pani Olga nie żyje".

Wsiadając w Witebsku do wagonu poślizgnęła się na stopniu, wpadła pod pociąg, który obciął jej obie nogi, a w parę godzin potem umarła w szpitalu.

*

— Od tego czasu — kończył doktór Tomasz — sonatę appasionatę Bethowena grałem tylko raz jeden...

Odpowiedzi Redakcji

Podajemy spis artykułów, które nie zostały przyjęte do druku.

Pan E. M. Schum. — Moja podróż dokoła Niemiec.

Pan Kaz. Hel. — Bajeczny sen na... Jawie.

Pani E. Poz. — Ateny.

Pan Al. S. — Pół tuzina córek.

Pani J. Rap. — Chirurgia estetyczna.

Rękopisy są do odebrania w redakcji, przez przeciąg 2-ch tygodni Po upływie tego czasu zostaną zniszczone.



Bobby Breen— mały śpiewak ekranu występuje w filmach wytwórni R. K. O. Radio

„Penny" **Atlantic**

Znamy wszyscy niesłychaną brawurę i tupet biur kinematograficznych starających się wzajemnie prześcignąć w „oszałamiającej" superlatywami reklamie. Co drugi obraz — to „arcyfilm", co drugi reżyser — to „geniusz". Suto okraszone superlatywami ogromne ogłoszenia premierowe rzucają się w oczy czytelnika, przygniatając go wszystkiem „naj", mamiąc rewelacyjnymi obietnicami, kusząc sensacyjnością zestawień słownych, często... rażąc polszczyzną.

Nie przypuszczam, żeby biura reklamy filmowej zawsze wierzyły w to, co piszą w cało-kolumnowych ogłoszeniach w gazetach. Gdyby się znalazł złośliwy recenzent, który by pisał ocenę z filmu, porównywując swe wrażenia wyniesione z kina z treścią premierowego ogłoszenia, miano by mu za złe, że tak poważnie przejął się pustymi frazesami zdawkowych superlatywów reklamy.

Jakżeż często się zdarza, że „arcyfilm", czy „największy dramat wszystkich czasów", „natchnione dzieło najgenialniejszego reżysera świata" okażą się po bliższym poznaniu nędznym kiczem.

Film „Penny" reklamowany jest jako „arcykomedia". Nie przesadzajmy!

Żywy i barwny scenarjusz obfituje w wiele zabawnych scen, ma ciekawe, nieszablonowe założenie, a staranna reżyseria, dobrze dobrane typy, melodyjny podkład muzyczny i naturalna gra wykonawczów zasługują na wyróżnienie.

Eskapada trzech rozbrykanych kilkunastoletnich sióstr z Europy do Nowego Yorku ze szlachetnym zamiarem uniemożliwienia ojcu małżeństwa ze sprytną naciągaczką, stanowi kapitalny pomysł komediowy. Rozhukane dziewczęta z właściwą podlotkom naiwnością i bezpośredniością knują „piekielne" intrygi, aby tylko odsunąć niebezpieczną intruzkę i zapewnić szczęście ich opuszczonej matce. Szlachetny młodzieńczy poryw święci triumf. Nowoczesna krucjata kończy się zwycięsko. Zbłąkany ojciec wraca do swej pierwszej żony ku ogólnemu zadowoleniu.

Zabawne momenty scenariusza zostały potraktowane przez reżysera z należytym zrozumieniem. Charles Kosterlitz nie kazał nam zbyt długo roztkliwiać się tragicznym losem opuszczonej żony; nie brał zbyt serio naiwnych dziewczęcych intryg; nadał scenariuszowi właściwy ton przez przeprowadzenie akcji w wartkim, często żywiołowym tempie, przez racjonalne wyzyskanie dynamiki filmu i kapitalne skróty. Naiwne sceny sfilmował z rozbrajającą prostotą, patrząc z uśmiechem pobłażania i dobrotliwą ironią na szalone pomysły bohaterek.

Z trzech miłych sióstr najmłodsza Penny (Deanna Durbin) była żywiołowym motorem akcji. Żywa, ruchliwa twarzyczka, błyszczące oczy i pełna fantazji czupryna świetnie pasowały do roli młodocianego dyktatora. Duży temperament i wyraźny nerw filmowy przy wyrazistej urodzie i niezaprzeczonych zdolnościach aktorskich wróżą nowej gwiazdce New Uniwersalu rozkwit kariery. Pewne zauważone niedociągnięcia dadzą się łatwo usunąć, młody świeży głos pod odpowiednim kierownictwem powinien się rozwinąć. Deanna Durbin ma piętnaście lat i wielkie możliwości.

Z wykonawców pozostałych ról należy wymienić szalenie miłego Ray Midlanda, którego ogromna prostota, duży wdzięk i uroda przemawiają do widza szlachetną naturalnością.

Film zmontowany jest zręcznie i prowadzony z humorem i życiem. Pewne nieliczne usterki i nadmierne uproszczenia mogą chwilami razić europejskiego widza, ale niezaprzeczony humor, miły głos małej Penny i zabawne sytuacje wynagradzają nam to sowicie.

Nadprogram: tygodnik Pata, dość interesujący reportaż z Lublina Byczyńskiego i bardzo słaby dodatek orkiestrowy Warner Bros., wyróżniający się ujemnie monotonią pomysłów, nieefektownymi zdjęciami i słabą muzyką. *J.*

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755. Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp. Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.**

FILMU

„Bufallo Bill" **Światowid**

Nowoczesna technika kinematograficzna i jej kolosalne zdobycze lat ostatnich ogromnie wpłynęły na jakość produkowanych obrazów. Współczesny reżyser, posiadając prawie nieograniczone możliwości techniczne, może poświęcić znacznie więcej uwagi artystycznej stronie filmu, mając zapewnioną ogromną pomoc całego sztabu techników, dekoratorów, kinooperatorów i personelu pomocniczego. Od szeregu lat króluje niepodzielnie film dźwiękowy, od paru miesięcy produkuje się pełnometrażowe obrazy w barwach naturalnych o nieprzeciętnych walorach artystycznych fotografii. Liczni wynalazcy porają się z filmem plastycznym, którego realizacja, acz uciążliwa, zdaje się być wykonalna.

A jednak mimo tak niezaprzeczony rozwój techniki, jakże często spotykamy się z porównaniem któregoś z najnowszych obrazów z dawnym filmem niemym. Porównanie to zawsze zawiera nutę żalu, że jednak tamten film „wielki niemowa" to było kino prawdziwe, rasowe, a obecne obrazy, często udane, nie mają tych walorów ekspresji, dynamiki i rozmachu. Rozwój techniki ułatwił produkcję, ale zdejmując ciężar z bark filmowców przyczynił się do ich rozleniwienia. Wyzyskując ogromne możliwości, mając usunięte większe trudności przemysłowiec filmowy idzie po linii mniejszego oporu, nie walczy dość twardo z przeciwnościami i zatraca kinowość na rzecz teatralności, czy plastyki i barwy.

„Bufallo Bill" w reżyserji znanego Cecila de Mille'a posiada cenne zalety filmów niemych. Ciężar rozwoju akcji spoczywa na dynamice. Sceny batalistyczne, umiejętne operowanie licznymi rzeszami statystów, ruchem i życiem tłumu i gromady stanowią niewątpliwe atrakcje.

De Mille sięgnął do barwnego życia „dzikiego zachodu" z lat pasterskich walk białych przybyszów z czerwonoskórymi gospodarzami. Żywe opisy książek dla młodzieży, dawne filmy Toma Mixa, czy bohaterskie rapsody Douglasa Fairbanksa przywodzi na myśl ów obraz tak różny od salonowo - erotycznych komedii. Film tętni bujnym życiem dzikich stepów, grzmi hukiem wystrzałów bohaterskich walk kolonizacyjnych, porywa żywiołowym temperamentem bohaterów, prostotą twardego życia, szlachetnym porywem ofiarności i brawurą pierwotnej sprawiedliwości.

Znakomita reżyseria, mistrzowskie operowanie tłumami, rozmach i naturalizm scen batalistycznych zmuszają do podziwu. Pełna surowej szlachetności i dzikiego prymitywu sylwetka Gary Coopera, opromieniona prostotą gry i wrodzonym wdziękiem stanowi atut nie do pogardzenia. Odrębność dawno niefilmowanego tematu i żywość scenariusza mogłaby wyjść lepiej, gdyby nie szereg przeszarżowanych sytuacyj, zbytnia „krwawość" akcji i niedostateczne zestrojenie całego zespołu. Jean Arthur wypadła dość blado i, chociaż jej „Pechowa Jane" dawała duże pole do popisu, była zbyt monotonna. Nadmierne rozciąganie scen batalistycznych i straszliwa śmiertelność bitew à la longue nieco nużyły, lecz ciekawe ujęcie niektórych scen i ról wnosiły duże urozmaicenie do interesującego niebanalnego scenariusza.

J.



Pies „Błysk" w filmie R. K. O. Radio „Dzikie ścieżki"

WIADOMOŚCI... INFORMACJE... PLOTKI...

Ta dziewczynka z Paryża

Nowy film Lily Pons, słynnej śpiewaczki Metropolitan Opera w Nowym Jorku nosi tytuł „That Girl from Paris" i ukazał się obecnie na ekranach Stanów Zjednoczonych, odnosząc bardzo wielkie sukcesy. Zdumiewający głos maleńkiej śpiewaczki zdobył jej w Ameryce powodzenie szturmem. Przypuszczalnie w Europie nie pójdzie jej to tak łatwo.

Spełnione ambicje

Jednym z marzeń Herberta Marshalla, — trwająca już lata całe, była rola obok Katarzyny Hepburn. Obecnie i to marzenie miłego aktora zostało spełnione, gdyż wystąpił on obok wielkiej gwiazdy w filmie „Zbuntowana", który to film odnosi obecnie na ekranach Ameryki bardzo duży sukces.

ŚWIAT FILMU



„Madame Lenox" Film z życia emigrantów polskich. W roli tytułowej— Renata Miller Kino Studio

Nowy film Ireny Dunne

Irena Dunne światowa tragiczka i znakomita pieśniarka tak zw. w Ameryce „Złota dziewczyna o srebrnym głosie" nakręca nowy film. Film ten realizowany dla RKO Radio nosi tytuł Radio City Revels". Muzykę do tego filmu pisze Jerome Kern. W tej chwili studio przygotowuje się do zdjęć—ale partnerzy Ireny Dunne nie są nam jeszcze znani.

Coś dla miłośników muzyki i śpiewu

Jeanette Mac Donald i Nelson Eddy będą mieli w filmie „Mayrime" popisowe śpiewacze role. W filmie „Mayrime" usłyszymy arię „Visi d'arte" z opery „Tosca" oraz urywki z „Il Trovatore".

Sceny operowe będą filmowane specjalną, zupełnie nową techniką. Nada to tym scenom zgoła inny, pełniejszy wyraz.

Remarque pisze scenariusz dla filmu

Słynna powieść „Na Zachodzie Bez Zmian" była jednym z największych sukcesów literatury powojennej. Przetłumaczona na różne języki świata, potem sfilmowana, wywołała niebywałe zainteresowanie. Jej autor, Remarque, znajdujący się obecnie w Hollywood, pisze dla wytwórni Metro - Goldwyn - Mayer scenariusz „Trzech Kamratów". Główną rolę już zawczasu powierzono James Stewartowi, młodemu gwiazdorowi, partnerowi fenomenalnej tancerki Eleanor Powell — z filmu „Królowa Tańca".

Jak należy postępować, by mieć ładną cerę!

Maureen O'Sullivan, słynna partnerka Johnny Weismullera, która wystąpiła obok niego ostatnio w pełnym przygód filmie „Ucieczka Tarzana" ma śliczną cerę.

Podajemy jej wskazówki, jak należy postępować by do tego dojść.

Należy jeść możliwie jak najwięcej świeżych owoców, sałat, jarzyn.

Przebywać możliwie dużo na świeżym powietrzu. Na noc pożądane jest nacieranie (w każdym razie tak robi Maureen) twarzy, szyi i ramion olejkiem migdałowym.

Spać należy przy otwartym oknie, lecz pod ciepłą, szczelnie okrywającą kołdrą.

Franchot Tone w filmie „Nie ufaj mężczyźnie"

Franchot Tone przyłączył się do „kompletu" z „Tańczącej Venus" (Joan Crawford, Clark Gable, Franchot Tone).

Franchot Tone gra w tym filmie rolę przyjaciela Clark Gable. Obaj rywalizują na polu dziennikarskim. Rola Tone'a jest pełna humoru, Clark Gable i Joan Crawford tworzą zaś romantyczny team.

Jest to drugi wspólny występ Franchot Tone'a i Joan Crawford od roku, czyli od czasu, gdy zostali małżeństwem.

Pełną tempa komedię „Nie ufaj mężczyźnie" zrealizował W. S. Van Dyke.

Oryginalne porwanie

Opinia publiczna w Ameryce podrażniona jest do najwyższego stopnia powtarzającymi się stale, niewyjaśnionymi porwaniami. Złoczyńcy, tak zwani „kidnaperzy" grasują bezkarnie, policja jest wobec nich bezsilna. Ostatnio zdarzyło się znów porwanie dość oryginalne, tym razem jednak zupełnie bezkrwawe. Nie porwano bowiem ani dziecka, ani żadnego milionera, lecz słynny, milionowej wartości brylant, zwany „Krügerem". Złoczyńcy ukryli starannie drogocenny klejnot i zażądali kolosalnego okupu. I tym razem policji nie udało się nic wskórać. Brylant jednak odzyskano, dzięki sprytowi sekretarki właścicielki brylantu, znanej kolekcjonerki drogich kamieni, pani Sedley. Sekretarka ta kiedyś była zamieszana w aferę złodziejską i znała dobrze sztuczki wielkich aferzystów, dzięki czemu udało jej się zręcznie podejść pomysłowych „kidnapperów". Afera ta posłużyła wytwórni Paramount, jako temat do filmu, który pod tytułem „Cienie przeszłości" ukaże się wkrótce na ekranie. W roli głównej sekretarki-detektywa ukaże się znana z filmu „Zapomniane Twarze", piękna Gertruda Michael. Partnerami jej są: Ray Milland, bohater filmu „Królowa Dżungli" i Sir Guy Standing.



Wiliam Powell i Jean Arthur w filmie R. K. O. Radio „Bez świadków"

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a.